



HARLEQUIN[®]

GORĄCY ROMANS[®]



SKRYWANA
NAMIĘTNOŚĆ

ANNA DEPALO

Anna DePalo

Skrywana namiętność

Tłumaczenie:
Ewa König

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Cole Serenghetti, pokaż się, no pokaż! - mruknęła pod nosem.

Czuła, że mówi jak bohaterka staroświeckiej bajki, ale słowa nie mogą przecież niczemu zaszkodzić.

Chociaż z drugiej strony lepiej uważać, czego się pragnie. Jakby na zawołanie spod rusztowania na budowie wyłonił się wysoki mężczyzna.

Żołądek skurczył się jej ze strachu. Ile już razy postanawiała to zrobić, ale w ostatniej chwili brakowało jej odwagi? Trzy? Cztery?

Jednakże uczniowie liceum Pershinga oczekiwali od niej, że sprowadzi Cole'a Serenghettiego do szkoły, nie mówiąc o tym, że zależała od tego jej kariera.

Marisa zdjęła rękę z kierownicy i podniosła do oczu lornetkę. Mężczyzna, którego twarz kryła się pod żółtym kaskiem, ruszył tymczasem w kierunku wyjścia z otoczonego łańcuchem terenu budowy przyszłego czterokondygnacyjnego szpitala. Sądząc po ubraniu - dżinsy, kraciasta koszula, kamizelka i robocze buty - mógłby ująć za zwykłego robotnika. Ale miał w sobie coś nieomylnie władczego, a dodatkowo wyróżniała go imponująca fizyczność.

Serce mocno jej zabiło.

Cole Serenghetti. Były zawodowy hokeista, dziś pełniący funkcję szefa rodzinnej firmy budowlanej Serenghetti Construction. Z którym jej dawny szkolny flirt doczekał się fatalnego zakończenia.

Nie wróżyło to niczego dobrego.

Marisa opuściła lornetkę i skurczyła się na siedzeniu. Tego tylko brakowało, by policjant przyłapał ją na śledzeniu bogatego dewelopera!

Szantażystka? Kochanka w ciąży? Złodziejka czyhająca na za-

parkowanego nieopodal luksusowego range rovera?

Jak miałyby przekonać funkcjonariusza, że jest cenioną nauczycielką miejscowego liceum i nie ma złych zamiarów? Co by to była za ironia, gdyby została oskarżona o przestępcze prześladowanie wartego miliony faceta, straciła pracę i szacunek ludzi, podczas gdy w rzeczywistości chciała jedynie pomóc uczniom swojej szkoły.

Odłożywszy lornetkę, wyskoczyła z samochodu i pospieszyła w rozwianym płaszczu w kierunku mężczyzny, który zdążył tymczasem wyjść na chodnik. Mimo że było późne popołudnie i w mieście Springfield w zachodnim Massachusetts zbliżała się godzina natężonego ruchu, na bocznej uliczce panowała pustka.

Zaburczało jej w żołądku. Zdenerwowana perspektywą spotkania z Cole'em nie była w stanie zjeść lunchu.

- Cole Serengetti?

Mężczyzna odwrócił się i zdjął z głowy kask.

Na widok ciemnych zmierzwionych włosów, orzechowych oczu i czerwonych, jakby wyrzeźbionych warg, Marisa zwolniła kroku. Lewy policzek mężczyzny przecinała długa blizna łącząca się z drugą mniejszą, na podbródku, którą miał już za szkolnych czasów.

Co nie przeszkadzało, że był wciąż najseksowniejszym mężczyzną, któremu kiedykolwiek nadepnęła na odcisk.

Wypatrując na jego twarzy znamion czasu, starała się pozbiierać rozbiegane myśli.

Był dziś męniejszy i bardziej barczysty niż jako osiemnastolatek, a na jego twarzy pojawiły się ostre bruzdy. Ale najbardziej uderzającą zmianą była emanująca z niego charyzma niegdysiejszego gwiazdora Krajowej Ligi Hokeja, który przeistoczył się we władającego milionami dewelopera.

Mimo że liceum Pershinga mieściło się na peryferiach Welsdale, miasta, które rodzina Sereghettich uważała za swój dom, Marisa po ukończeniu szkoły ani razu nie natknęła się na Cole'a.

On tymczasem obrzucił ją spojrzeniem, a na jego twarz wypłynął leniwy uśmiech.

Poczuła ogromną ulgę. Uśmiech zdawał się sugerować, że Cole jest gotów zapomnieć o dawnej krzywdzie.

- Powiedziałbym „tak”, nawet gdybym nie był Cole’em Serenghettim, ślicznotko. - Ponownie zlustrował jej postać, zatrzymując wzrok na głębokim wycięciu sukienki i smukłych nogach.

No nie! Nawet jej nie rozpoznał! Marisie zrobiło się słabo. Podczas gdy ona od piętnastu lat rozpamiętuje swoją, i jego, dawną zdradę, on najwyraźniej o wszystkim zapomniał i nic nie zakłóca mu spokojnego snu.

Zdawała sobie sprawę, że ona też się zmieniła. Jej włosy były krótsze, rozjaśnione, rozpuszczone, sięgające ramion. Figura nabrała kształtów, no i nie nosiła już tych koszmarnych okularów. Niemniej...

Początek był miły, ale musi mu jednak uświadomić, z kim ma do czynienia.

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

- Jak się masz Cole? Jestem Marisa Danieli.

Zapadła długa cisza. Twarz mu stężała, uśmiech zgasł.

Zdecydowała się przerwać milczenie.

- Mam nadzieję, że twoje „tak” jest aktualne - dodała, próbując obrócić niejasną sytuację w żart.

- Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewny.

Uff. Stało się to, czego najbardziej się obawiała.

- Upłynęło tyle czasu - odparła, starając się opanować drżenie głosu.

- I co z tego? - Obrzucił ją oceniającym spojrzeniem. - Jeśli dobrze zgaduję, nie znalazłaś się tu przypadkiem. Chyba że nabrałaś zwyczaju węszenia, co się dzieje na budowach.

Pracując dorywczo w latach szkolnych jako akwizytorka, Marisa przekonała się, że nie posiada daru przekonywania. Najwyraźniej nic się pod tym względem nie zmieniło. Spokojnie, tylko spokojnie.

- Liceum Pershinga potrzebuje twojej pomocy. Zwracamy się do ciebie, bo jesteś naszym najbardziej znanym absolwentem.

- Naszym?

Skinęła głową.

- Tak, uczę angielskiego w dziesiątej klasie naszej dawnej

szkoły.

- Która nadal może na tobie polegać - zauważył z ironią w głosie.

- Tak. Jestem odpowiedzialna za zbieranie funduszy na nowe inwestycje.

- Gratuluję. Życzę powodzenia. - Wyminął ją bokiem, a ona odwróciła się w ślad za nim.

- Gdybyś mnie tylko wysłuchał...

- Na pewno bym uległ? Otóż wyobraź sobie, że nie jestem już tak wrażliwy na spojrzenia sarnich oczu jak piętnaście lat temu.

Zaskoczyła ją wzmianka na temat „sarnich oczu”, ale nie będzie się nad tym teraz zastanawiać.

- Szkoła pilnie potrzebuje nowej sali gimnastycznej. Jako zawodowy hokeista potrafisz najlepiej ocenić...

- Były hokeista - odparł, kładąc nacisk na pierwsze słowo. - Poszukaj kogoś innego.

- Przejrzałam rankingi wybitnych sportowców. Nadal jesteś pierwszy na liście. - Marisa potykała się o dziury w chodniku, usiłując dotrzymać mu kroku. Przydatne w szkole buty na obcasie nie zdawały w tych okolicznościach egzaminu.

Cole odwrócił się tak raptownie, że omal się z nim nie zderzyła.

- Nadal pierwszy na twojej liście? Czuję się zaszczycony - rzekł z gorzką ironią.

Marisie zapłonęły policzki. Brzmiało to tak, jakby próbowała go uwieść, a on ponownie odrzucał jej awanse.

W stosunkach męsko-damskich zaliczyła w życiu wiele niepowodzeń, ukoronowanych niedawnym zerwaniem zaręczyn przez narzeczonego. A wszystko zaczęło się w szkole, za sprawą Cole'a.

Dawno temu ona i Cole pochylali się razem nad książkami. Marisa kręciła się na krześle, myśląc o tym, by otrzeć się pod stołem nogą o jego nogę. Tak też zrobiła, i to nie raz, a on dotykał wargami jej ust...

Przemogła się.

- Szkoła potrzebuje twojej pomocy - podjęła. - Chodzi o to, żeby ktoś tak znany poprowadził planowaną za parę miesięcy

uroczystą galę połączoną ze zbiórką pieniędzy na budowę nowej sali gimnastycznej.

- To znaczy, że ty potrzebujesz pomocy. Ale poszukaj sobie innego pomocnika - oświadczył nieprzejednanym tonem, choć w jego oczach zapaliły się osobliwe błyski.

- Udział w zbiórce pieniędzy na szkołę na pewno przyniesie korzyść Serenghetti Construction - podjęła kolejną próbę, rzucając na szalę wcześniej przygotowany argument. - Stworzy znakomitą okazję do nawiązania nowych kontaktów.

Odwrócił się, chcąc odejść, a ona chwyciła go za rękę. Natychmiast zrozumiała swój błąd i gwałtownie cofnęła rękę. Przypomniała sobie, jak kiedyś, piętnaście lat temu, wodząc dłońmi po ramionach Cole'a, wyszeptała jego imię, a on zaczął całować jej piersi. Czy nic się nie zmieniło? Czy jej zmysły będą zawsze tak samo gorąco reagować na każdy jego dotyk, każde spojrzenie i każde słowo?

- Przyszłaś, bo jestem ci potrzebny - stwierdził rzeczowym tonem.

Marisa skinęła głową. W ustach jej wyschło, mimo chłodu oblała ją fala gorąca.

- Ja niestety nie wybaczam tak łatwo, ani nie zapominam celowo popełnionych zrad. Może to wada charakteru, ale tak już jest.

Oblała się rumieńcem. Często zadawała sobie pytanie, czy Cole wie na pewno, kto wygadał dyrektorowi, że to on spłatał szkole tamtego figla, wskutek czego został zawieszony w pracach uczniach, a szkolna drużyna przegrała doroczne mistrzostwa. No i teraz ma odpowiedź.

Miała wtedy poważne powody, aby postąpić tak, jak postąpiła, ale Cole zapewne nigdy tego nie zaakceptuje.

- Cole, to było dawno temu.

- Zgadza się. To należy do przeszłości, podobnie jak nasza znajomość - odparł, a spojrzawszy na zaparkowany przy krawężniku samochód, spytał: - To twój?

- Tak.

Otworzył drzwi, a ona zbliżyła się do krawężnika. Poczowała zawrót głowy i lekko się zatoczyła. Musi zebrać siły, aby dojść

z godnością do samochodu, pomyślała, ale w tej samej chwili pociemniało jej w oczach.

Tracąc przytomność, usłyszała, jak Cole klnie pod nosem, oraz uderzenie kasku o bruk, po czym osunęła się wprost w jego ramiona.

Kiedy się ocknęła, powtarzał jej imię. Przez moment wyobraziła sobie, że czas się cofnął i wymieniają pieśczęty jak kiedyś w szkole, szybko jednak oprzytomniała i zrozumiała, co się stało. Czując bliskość jego ciepłego mocnego ciała, ostrożnie otworzyła oczy. Zobaczyła tuż przed sobą długą bliznę na policzku. Miała ochotę unieść dłoń i powieść po niej palcem.

- Jak się czujesz? - usłyszała jego głos.

- Już dobrze. Możesz mnie puścić.

- Jesteś pewna? Mam wątpliwości, czy to dobry pomysł.

Nie wiedziała, jakie były długofalowe skutki wypadku, który położył kres jego sportowej karierze, ale chyba niezbyt poważne, skoro bez widocznego wysiłku Cole utrzymywał ciężar kobiety średniego wzrostu.

- Wszystko w porządku, naprawdę.

Z wahaniem wypuścił ją z ramion, ale widząc, że Marisa stoi pewnie na nogach, cofnął się o krok.

Upokorzona, nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

- Całkiem jak za dawnych czasów - mruknął Cole z nutką ironii w głosie.

Nie musi jej przypominać. Pamiętała dobrze swoje zemdlenie podczas wspólnej nauki w szkolnej świetlicy. Wtedy po raz pierwszy wylądowała w jego ramionach.

- Jak długo byłam nieprzytomna?

- Niecałą minutę. - Schował ręce do kieszeni. - Czy coś ci dolega? Bo widzę, że nadal masz tę skłonność.

- Nic mi nie jest. Faktycznie czasami zdarza mi się zemdleć, lekarze mają na to jakąś skomplikowaną nazwę, ale bardzo rzadko.

Najwyraźniej ma fatalny zwyczaj popadania w omdlenie, kiedy Cole jest w pobliżu! Spotykają się pierwszy raz po piętnastu latach i ona znowu wycina taki numer. Wolą się nie zastanawiać, co mu teraz chodzi po głowie. Pewnie uważa ją za intry-

gantkę obdarzoną aktorskim talentem.

- To było świetnie zaplanowane podanie - zauważył zgryźliwie, odwołując się do sportowej terminologii.

Wyraźnie sugerował, że celowo zemdłała, aby zyskać na czasie i wzbudzić współczucie. Ale nawet się nie oburzyła, była na to zbyt zażenowana.

- Piłkę podaje się w futbolu, a ty jesteś przecież hokeistą. Więc po co miałabym to robić?

- Żeby zmylić przeciwnika.

- I co, udało się?

Cole miał taką minę, jakby żałował, że nie ma na sobie ochronnego stroju hokeisty. Więc jednak wytrąciła go z równowagi. Chwilowy triumf dodał jej ducha.

- Zdania nie zmieniłem.

Ręce jej opadły. Ruszyła wolno do samochodu.

- Czujesz się na tyle dobrze, żeby prowadzić? - zapytał, nie wyjmując rąk z kieszeni.

- Najzupełniej. - Poza tym, że była wyczerpana, czuła się pokonana i głęboko upokorzona.

- Powodzenia, Mariso.

Zdecydowanym gestem zatrzaskał drzwi jej samochodu, jakby ostatecznie się z nią żegnał. Już raz, wiele lat temu, zrobił jej coś podobnego.

Przekręcając klucz w stacyjce, czuła na sobie jego spojrzenie. A gdy odjeżdżając, popatrzyła we wsteczne lusterko, zobaczyła, że Cole stoi na chodniku, odprowadzając ją wzrokiem.

Nie powinna była przyjeżdżać. Niemniej musi jakimś sposobem uzyskać jego zgodę na poprowadzenie zbiórki. Nie po to zdobyła się na tak wielki wysiłek, żeby od razu zrezygnować.

- Wyglądasz na faceta, który pilnie potrzebuje treningowego worka - zauważył Jordan Serengetti, nakładając bokerskie rękawice.

- Cholerny szczęściarz! Ty przynajmniej możesz się wyładować, przykładając komuś kijem na lodzie.

W przeciwieństwie do starszego brata, który po ciężkim urazie musiał zrezygnować z kariery, Jordan nadal błyszczał w Li-

dze Hokeja.

Ilekcją Jordan wracał z trasy do rodzinnego miasta, dwaj bracia regularnie spotykali się na ringu. Cole'owi, który starał się zachować formę, sparingi z bratem urozmaicały nudną rutynę samotnych ćwiczeń w sali gimnastycznej.

- Mój najbliższy mecz i pierwsza okazja, żeby komuś przyłożyć, dopiero za trzy dni - odparł Jordan, podnosząc rękawice. - Ale ty masz chyba na tapecie jakąś wartą zachodu ślicznotkę.

Marisa Danieli była wprawdzie ślicznotką jak się patrzy, lecz Cole poprzysiął sobie unikać jej jak zarazy. Jak na złość, odkąd w ostatni piątek ponownie wylądowała w jego ramionach, jej obraz go prześladował.

Jordan z szerokim uśmiechem poprawił na głowie bokerski kask.

- Ach prawda, zapomniałem, że Vicky rzuciła cię dla jakiegoś sportowego agenta. Jak on się nazywa?

- Sal Piazza - rzucił Cole, uchylając się od ciosu.

- No jasne, Salami Pizza.

- Wcale mnie nie rzuciła - burknął Cole. - Vicky...

- Zmęczył ją brak zaangażowania z twojej strony.

Cole wymierzył Jordanowi prawy prosty.

- Dobrze wiedziała, że łączył nas przelotny romans.

- Bo doszły ją słuchy, jaką masz opinię i wołała znaleźć sobie w porę kogoś innego.

- No i wszyscy są zadowoleni. - Wymieniali ciosy, tańcząc wokół ringu, nieświadomi otaczającego ich gwaru.

Mimo że była środa po południu, w hali bokerskiej Jimmy'ego nie brakowało ćwiczących. I chociaż utrzymywano w niej niską temperaturę, w powietrzu rozchodził się silny zapach potu.

Jordan wykonał parę obrotów głową.

- Mama chciałaby, żebyś się wreszcie ustatkował.

Cole wyszczerzył zęby.

- Tak samo byłaby uszczęśliwiona, gdybyś ty rzucił hokeja i przestał ryzykować wydanie fortuny na ortodontę, co jak wiesz również się nie stanie.

- Jedyne jej nadzieje w Ricku - dodał Jordan, mając na myśli

średniego brata. – Ale czy ktoś wie, gdzie on się podziwia?

– Słyszałem, że jest z ekipą filmową na włoskiej Riwierze.

Brat Cole'a i Jordana był kaskaderem, czyli superryzykantem w gronie lubiących ryzyko braci. Ich matka często powtarzała, że wychowując trzech synów i córkę, prowadzi całodobowe pogotowie ratunkowe.

– Pewnie mają w ekipie co najmniej jedną ociekającą seksem gwiazdę i na planie roi się od paparazzich – rzekł Jordan, wykrzywiając usta.

– Mama może jeszcze liczyć na Mię, chociaż nie ma jej pod ręką. – Ich jedyna siostra, najmłodsza z rodzeństwa, przeniosła się do Nowego Jorku, gdzie odnosiła sukcesy jako projektantka mody. Tak więc z całego rodzeństwa tylko Cole miał stałą bazę w rodzinnym mieście.

– Ciężko być najstarszym – zauważył Jordan, jakby czytał w głowie brata. – Ale z nas wszystkich tylko ty nadajesz się do prowadzenia firmy.

Tuż po tym, jak kontuzja położyła kres sportowej karierze Cole'a, ich ojciec Serg doznał rozległego wylewu i najstarszy syn przejął po nim władztwo w firmie budowlanej Serengetti Construction.

– Ciężko nie ciężko, to po prostu mój obowiązek.

To powiedziawszy, Cole skorzystał z okazji, by wymierzyć Jordanowi prawy sierpowy. Bardzo brata kochał, niemniej trochę mu zazdrościł, nie tyle pozycji gwiazdora, którą sam niedawno utracił, ile zażywanej przez niego swobody.

Ojciec od lat nosił się z nadzieją, że przynajmniej jeden z synów przejmie po nim rodzinny interes i odpowiednio ich do tego przygotowywał.

Cole od wczesnych lat pracował w wakacje na budowach, ale nie przewidział, że będzie nagle zmuszony nie tylko przejąć firmę, ale stać się niejako głową rodziny. W dodatku przedsiębiorstwo od dawna kulało i Cole robił, co mógł, aby utrzymać się na rynku.

Ale jeżeli sprawy ułożą się po jego myśli, powróci wkrótce do dawnego życia. Już nie jako zawodnik, ale dawne kontakty otwierały przed nim różne możliwości, na przykład mógłby zo-

stać trenerem.

- No więc powiedz w końcu, co cię wprowadziło w taki zły humor - zagadnął Jordan, jakby prowadzili zwykłą rozmowę, a nie walczyli na ringu.

Cole wrócił myślami do problemu, który od kilku godzin uwięził go jak kamień w bucie. Czyli do kobiety, która... Skoncentruj się na tym, ile złego ci wyrządziła, upomniał się w duchu. A na głos powiedział:

- Dzisiaj w południe na budowie zjawiała się Marisa Danieli.

Jordan wyraźnie nie kojarzył.

- Liceum - podrzucił Cole.

Bracia chodzili wprawdzie do różnych szkół średnich, ale Jordan wiedział, kim była Marisa. Po tym, jak się walnie przyczyniła do zawieszenia Cole'a w ostatniej klasie, zyskała sobie złą sławę zarówno wśród braci, jak i ich kolegów.

- Bombowa Lola Danieli? - zapytał Jordan z krzywym uśmiechem.

Cole nigdy nie lubił tego przezwiska, i to jeszcze zanim Marisa stała się w jego oczach winną jego szkolnych niepowodzeń Lolitą. Przydomek miał ironiczny charakter, bo w sposobie, w jaki się wówczas zachowywała i ubierała, nie było nic seksownego.

Nigdy nie przyznał się nikomu, co ich wcześniej łączyło. Dopiero bracia mieliby używanie! Postronni wiedzieli o niej tylko, że doniosła na Cole'a do dyrektora szkoły, czym ostatecznie przypieczętowała jego los.

Chwila, w której dyrektor dał do zrozumienia, że donosicielką jest Marisa, na zawsze wryła mu się w pamięć. Od tamtej pory zaprzestał płatania w szkole psikusów.

Ale chodziło nie tylko o to. Na niekorzyść Marisy dodatkowo przemawiał fakt, że zjawiała się niedługo po tym, jak ciężka kontuzja ostatecznie zakończyła jego sportową karierę, przypominając mu, że u samego początku omal nie zamknęła mu drogi na lodowisko.

Mocny cios Jordana w ramię sprawił, że Cole zachwiał się, co zmusiło go do powrotu do rzeczywistości.

- Nie gap się, braciszku! - upomniał go Jordan. - Co do mnie,

to nie widziałem Marisy na oczyma maturo.

- Jeszcze wczoraj mogłem powiedzieć to samo.

- I co? Zorientowała się, że stanąłeś na nogi i chce cię znowu znokautować?

- Ale z ciebie dowcipniś.

- Jestem bratem od rozśmieszania.

- I co za braterska lojalność!

Jordan opuścił gardę.

- Nie zamierzam bronić tego, co ci zrobiła. Wykluczenie z gry w ostatnim meczu, przez co szkoła utraciła tytuł mistrzowski, musiało cię cholernie dużo kosztować. Zresztą wszyscy potem obchodzili ją szerokim łukiem. Ale ludzie się zmieniają.

Cole trafił go prawym prostym.

- Chce, żebym poprowadził galę połączoną ze zbieraniem funduszy na budowę nowej sali gimnastycznej w Pershingu.

Jordan gwizdnął przez zęby.

- Ma baba charakter.

Marisa zmieniła się także pod innymi względami, ale na ten temat Cole wolał się przed bratem nie rozwodzić. Jej dzisiejsze wcielenie zasługiwało w pełni na miano Bombowej Loli. W pierwszej chwili, nim ją rozpoznał, zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Zobaczył przed sobą chodzący seks. To czysty kryminał, by nauczycielka śmiała tak wyglądać!

Znikły sobie okulary, jakie nosiła w szkolnych czasach, a dłuższe niż wówczas, rozpuszczone włosy opadały na ramiona burzą loków. Zamiast bezkształtnych bluz miała na sobie sukienkę podkreślającą kształty, które zaokrągliły się wszędzie, gdzie trzeba. Cole był w stanie to ocenić, bo sam kiedyś je pieścił.

Nim zrozumiał, z kim ma do czynienia, pomyślał, że sami bogowie zesłali mu nagrodę za ciężko przepracowany tydzień. Kiedy zaś się opamiętał, Marisa znowu wpadła mu w ramiona. I przez kilka następnych sekund wpatrywał się w jej twarz, targany sprzecznymi uczuciami: zdziwienia, złości, troski i... tak, pożądania. Wciąż czuł dotyk spoczywającego w jego ramionach ciała, którego sygnały działały na jego zmysły, całkowicie omijając zdrowy rozsądek.

Tym razem to Jordan trafił go w środek torsu.

- Obudź się, braciszku! Wciąż o niej myślisz?

Cole uśmiechnął się smętnie.

- Wyszunęła argument, że moje uczestnictwo w zbiórce pieniędzy na szkołę może stanowić dobrą reklamę dla Serengetti Construction.

- Sprytna baba. Trudno mieć jej to za złe.

Cole wydał z siebie niechętnie burknięcie. Argument Marisy ma sens, ale wolałby stracić przednie zęby, niż przyznać jej rację. Miał wrodzoną niechęć do autoreklamy. Jako zawodowy hokeista, ku rozpaczy swego agenta, unikał jak ognia okazji do zdobycia tak zwanej osobistej popularności. A po przejęciu sterów rodzinnego przedsiębiorstwa koncentrował się bardziej na doskonaleniu organizacji pracy niż na reklamie.

Marisa miała głowę nie od parady, to fakt. Czego nie można było powiedzieć o większości kobiet, za którymi się uganiał jako gwiazda hokeja. W szkole uchodziła wręcz za książkowego mola. Koledzy, którzy w męskiej garderobie lubili wymieniać uwagi na temat dziewcząt, nie mieli pojęcia o jej rozmiarach; była poza ich zasięgiem. Tylko on odkrył w końcu, że Marisa nosi biustonosz rozmiar C. I za to odkrycie zapłacił wysoką cenę.

Teraz jak nic nosiła rozmiar D. I była w stanie doprowadzić do zguby każdego mężczyznę, który stanął na jej drodze. Ale tym razem on nie będzie jej ofiarą.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Rakieta do squasha w szafie w holu. Sam odbiorę”.

Marisa gwałtownym ruchem wyłączyła komórkę. Pierwsze po piętnastu latach spotkanie z Cole'em tak nią wstrząsnęło, że nadejście nowej wiadomości całkowicie umknęło jej uwadze. Odkryła ją dopiero po powrocie do mieszkania.

Poczuła narastające oburzenie. Nie z powodu zawartej w e-mesie treści, ale ze względu na autora. Bowiem wiadomość pochodziła od Sala, jej byłego narzeczonego, który trzy miesiące temu puścił ją kantem.

Podczas ich niezbyt długiego narzeczeństwa Marisa weszła stopniowo w rolę dobrej żoneczki – odbierała jego rzeczy z chemicznej pralni i robiła za niego zakupy w supermarkecie. Sal uważał, że ma pełne prawo wejść do mieszkania Marisy po swoją rakieta. Pewnie umówił się z jakimś swoim klientem na partijkę squasha, jako że nawet agent sportowy musi się niekiedy wykazać jaką taką sprawnością fizyczną.

Miała ochotę wyrzucić rakieta za okno i dać znać Salowi, by ją sobie stamtąd zabrał. Nim jednak zdołała swój zamiar wprowadzić w czyn, do jej uszu dobiegł cichy trzask przekręcanego w zamku klucza. Zmarszczyła brwi. Czy nie kazała Salowi zwrócić klucz do jej mieszkania?

Otworzyłszy z rozmachem drzwi, ujrzała na progu kuzynkę Serafinę.

- Ach, to ty - rzekła z ulgą.

- Pewnie, że ja. Przecież dałaś mi klucz, nie pamiętasz?

- Oczywiście. - Co nie znaczy, iż jej podejrzenie, że to Sal przyszedł po rakieta, korzystając z dorobionego klucza, było nieuzasadnione. Byłby do tego zdolny.

Jak to dobrze, że nawet planując wspólne zamieszkanie z Salem, nie pozbyła się własnego mieszkania. Mały apartamencik, który kupiła pięć lat temu, uznała za ważny krok w kierunku sa-

modzielności i poczucia bezpieczeństwa.

Ciekawe, gdzie Cole ma teraz dom. Pewnie zajmuje obszerny apartament na najwyższym piętrze w którymś ze zbudowanych przez siebie wieżowców.

I jest niewątpliwie najbardziej poszukiwanym kawalerem w całym Welsdale, podczas gdy ona jest... nikim. Nawet jeśli w Pershingu cieszy się uznaniem.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Serafina, zdejmując przełożoną przez ramię ciężką torbę i upuszczając ją na podłogę.

- Właśnie rozmyślałam, gdzie zakopać rakietę do squasha, którą Sal zostawił w szafie - odparła Marisa.

- Niezły pomysł - przyznała Serafina. - Boję się tylko, że psy z twojego domu szybko wywęszą trupa.

- Sal napisał, że chce ją odzyskać. - To, że narzeczony puścił ją kantem, nie było przyjemne, ale Marisa wkrótce się z tego otrząsnęła.

- Ostatecznie rakietę nic ci nie zawiniła - z lekkim uśmiechem zauważyła jej przyjaciółka. - Chyba nie warto się mścić na martwym przedmiocie.

Marisa wydała z siebie głębokie westchnienie.

- Masz rację - odparła. - Dam mu znać, że znajdzie ją na stole, w holu na parterze.

Od czasu pamiętnej przeprawy z Cole'em w ostatniej klasie liceum Marisie stale towarzyszyła obawa, by nie uznano jej za żołą.

- Ale przy okazji powiedz temu bydlakowi, gdzie może ją sobie wsadzić.

Marisa słabym uśmiechem skwitowała uwagę kuzynki. Serafina była od niej trochę wyższa i miała falujące ciemnoblonde włosy. Natura oszczędziła jej kasztanowych kręconych loków, które były dla Marisy istną zgorą. Miały za to obie te same, odziedziczone po wspólnej babce bursztynowe oczy, a rysy ich twarzy zdradzały wyraźne rodzinne podobieństwo.

W okresie dorastania Marisa traktowała Serę jak młodszą siostrę. Oddawała jej książki, zabawki i sukienki, z których wyrosła, i udzielała rad. A ostatnimi czasy, kiedy w oczekiwaniu na posadę i własne mieszkanie Serafina zamieszkała u niej, jej to-

warzystwo było dla Marisy prawdziwym błogosławieństwem.

- Ja dla odmiany mam dla ciebie dobrą wiadomość - oznajmiła Serafina. - Otóż wyprowadzam się.

- Ach, to wspaniale! - z udanym entuzjazmem zawołała Marisa.

- To znaczy nie od razu. Najpierw wybieram się do Seattle z wizytą do ciotki Flo i Spółka.

- Nie chciałam powiedzieć, że cieszę się z twojej wyprowadzki - poprawiła się Marisa. - Cieszę się z tego, że ci się udało. - Trzy tygodnie wcześniej kuzynka otrzymała wiadomość, że ma zagwarantowaną stałą pracę.

Serafina parsknęła śmiechem.

- Och, Marisa, jesteś cudowna! Wiem, że dobrze mi życzysz.

- Cudowność kończy się po przekroczeniu trzydziestki. - Marisa miała lat trzydzieści trzy i była singielką, wprowadzie nadal seksowną, ale jak długo jeszcze...

W dodatku niedawno rzucił ją narzeczony.

Cole co prawda rozpromienił się na jej widok, ale gdy tylko zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia, momentalnie spochmurniał.

Serafina przyjrzała się jej uważnie.

- Masz jakieś zmartwienie?

Marisa odwróciła się i ruszyła do kuchni.

- Poprosiłam Cole'a Serenghettiego, żeby poprowadził zbórkę pieniędzy podczas uroczystej gali w Pershingu.

Jeśli nawet nie umarła ze wstydu, prosząc go po tylu latach o przysługę, to była blisko tego. Padła zemdlona w jego ramiona. Ile jeszcze podobnych upokorzeń będzie musiała znieść?

Na pocieszenie przydałoby się coś słodkiego. W lodówce zachował się chyba kawałek ciasta.

- No i co? - zapytała Serafina, wchodząc za nią do kuchni.

- Poszło jak z płatka. Z miejsca się zgodził. Był zachwycony.

- To świetnie, ale...?

- Mniam, mniam - mruknęła Marisa, sięgając po pojemnik z resztką czekoladowego tortu.

Ciacho. Cole też jest nie lada ciachem. Baby na pewno ustawiają się w kolejce, by go zjeść na deser. Przez ostatnie piętna-

ście lat jeszcze wyprzystojniał.

- Marisa?

Marisa otworzyła pojemnik. Kiedy była z Salem, uważała, by nie utyć. Miała kompleksy na punkcie swojej dobrze zaokrąglonej, wcale nie najsmuklejszej figury. Ale po zerwaniu zaręczyn zaczęła sobie dogadzać. Sal miał teraz nową sympatię, taką, jakiej szukał, wiotką jak zawodowa modelka.

- I co, ucieszył się na twój widok? - dopytywała się Serafina.

- Był wprost uszczęśliwiony.

- Teraz widzę, że nie mówisz serio.

Kilka lat temu Marisa zwierzyła się kuzynce, że w ostatniej klasie liceum miała gorący romans z Cole'em Serenghettim, ale po tym, jak zdradziła dyrektorowi, iż to on dopuścił się wykroczenia przeciwko szkolnej dyscyplinie, Cole nie chciał jej znać.

Marisa postawiła na stole dwa talerzyki.

- Zapraszam na przyjęcie.

Serafina przysunęła sobie krzesło i usiadła przy kuchennym stole.

- Mam nadzieję, że facet jest wart ośmiuset kalorii. Bo jak się domyślam, jest nadal obrażony za to, co mu zrobiłaś w szkole.

- Trafiłaś w dziesiątkę.

Marisa zrelacjonowała kuzynce przebieg swego spotkania z Cole'em. O tak, wciąż nie może jej darować dawnej winy. Dał jej to wyraźnie do zrozumienia. O zbiorce pieniędzy nie chciał nawet słyszeć.

Serafina pokręciła głową.

- Ach, ci mężczyźni. Nigdy nie dorastają.

Marisa podała kuzynce kawałek tortu.

- To nie jest takie proste.

- Nic nie jest proste. Weź sobie większy kawałek.

- Nawet największy kawałek nic tu nie pomoże.

- Jest aż tak źle?

Marisa skinęła głową.

- Poczekaj, zrobimy sobie kawę - mruknęła, wstając.

Odrobina kofeiny dobrze jej zrobi po tym, co dzisiaj przeżyła. Napełniła ekspres wodą, wsypała do niego kawę i postawiła na gazie. Nie stać jej było na jedną z tych nowoczesnych maszynek

do kawy, które wszystko robią same.

Co jej przyszło do głowy, by wziąć na siebie przeprowadzenie z Cole'em Serenghettim decydującej rozmowy? Wiedziała oczywiście, dlaczego to zrobiła. Ponieważ miała ambicję zostania wicedyrektorką szkoły. Miał to być kolejny krok na drodze prowadzącej od ubóstwa do sukcesu. Dzięki dobrym wynikom w nauce, które ułatwiły jej zdobycie stypendium, Marisa ukończyła studia. Teraz zaś, po tym, jak rzucił ją narzeczony, postanowiła poświęcić się bez reszty pracy w szkole.

Zgłaszając gotowość zorganizowania wielkiej zbiórki na budowę nowej sali gimnastycznej, nie przewidziała, że obecnemu dyrektorowi szkoły, panu Dobsonowi, będzie tak bardzo zależało na pozyskaniu Cole'a Serenghettiego. Próbowала mu to wyperśwadować, ale bez skutku. Dyrektor odkrył bowiem, że Cole i Marisa razem robili maturę i uznał, że najlepiej będzie, jeśli to ona zaapeluje do słynnego absolwenta o wzięcie udziału w ważnej dla szkoły imprezie. A ona za nic by się nie przyznała, dlaczego jej romans z Cole'em zakończył się katastrofą.

- I co teraz zrobisz? - zagadnęła Serafina, kiedy Marisa postawiła na stole dwa kubki kawy.

- Nie wiem.

- Znając ciebie, nie poddasz się tak łatwo.

- Nikt nie zna mnie lepiej niż ty.

Marisa przywołała na pomoc wspomnienie matki, która wychowała ją samotnie, pracując na dwóch posadach.

- Spróbuję jeszcze raz. Ale nie mogę znowu czyhać na niego na budowie, niczym jakaś zwariowana wielbicielka.

Serafina otarła usta serwetką.

- Może mogłabyś go złapać u Jimmy'ego, w sali boksu.

- Co to takiego?

- Ośrodek nabijania bicepsów. Cole uchodzi za stałego bywalca.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Od facetów z knajpy Puck & Shoot. Wielu hokeistów regularnie ćwiczy boks. Jordan Serenghetti też podobno wpada do Jimmy'ego.

Sądząc po jej minie, Serafina nie miała najlepszej opinii

o młodszym bracie Cole'a.

- Widzę, że twoja praca na czarno w knajpie obejmuje nie tylko podawanie drinków - roześmiała się Marisa.

- Jakbyś zgadła. Gdybym zaczęła brać pieniądze za to, co udaje mi się usłyszeć, nie musiałabym brać napiwków. Ale ty masz za darmo.

To, że Cole ćwiczy boks, wcale Marisy nie zdziwiło. Wspomniany przez Serafinę przybytek boksu z pewnością w niczym nie przypominał pseudoeleganckiego klubu, w którym Sal grał w squasha.

- Dzięki. Ale jak się ubrać, idąc między bokserów?

- Im mniej na siebie włożysz, tym lepiej. Będzie bardzo gorąco i wszyscy będą ociekać potem.

Tydzień później

Widząc, że Jordan nagle się zagapił, Cole wykorzystał okazję do oddania serii ciosów, od których młodszy brat zatoczył się na ringu. Ocierając rękawicą czoło, poczekał, aż Jordan odzyska równowagę.

- Szkoda mi twojej ponętnej fizis, nie chcę jej demolować. Zostawiam to twoim kumplom z lodowiska.

- Piękne dzięki. Jednemu z nas nikt jeszcze nie złamał nosa, ale... to nie pora na pranie się po mordach. - Wzrok Jordana powędrował w dal, za plecy Cole'a.

- Na co się gapisz?

Jordan ruchem głowy wskazał mu drzwi do hali.

Odwróciwszy się, Cole głośno zaklął.

Marisa szła od drzwi, a fakt, że była na wysokich obcasach, dowodził, że o halach sportowych ma równie blade pojęcie, jak o terenach budowy. Jej pojawienie się przyciągnęło uwagę męskich klientów, przy czym niektórzy wręcz nie mogli oderwać od niej oczu.

Ona jednak szła prosto w ich kierunku, nie rozglądając się na boki, całkowicie ignorując ogólne poruszenie. W powiewnej sukience w kropki wyglądała na wcielenie niewinności.

Cole zbyt wiele wiedział, by się na te pozory nabrać, niemniej

wszystko to przypominało obraz sarenki Bambi otoczonej stadem wilków.

- No proszę - usłyszał za sobą głos Jordana. - Kto by przypuszczał, że w środę wieczorem trafi się taka miła niespodzianka.

Cole skrzywił się. Na pewno nie dla niego. Podszedł do lin i wyciągnął ręce w kierunku pracownika hali, który pomógł mu zdjąć bokierskie rękawice.

- A ty dokąd? - zdziwił się Jordan.

- Idę odpocząć.

- Ja pierwszy ją zauważyłem - żartobliwym tonem podkreślił Jordan.

Braci Serenghettich od wczesnej młodości obowiązywała zasada, że prawo zaczepienia atrakcyjnej dziewczyny ma ten, który pierwszy ją zauważył.

Cole zmierzył brata ciężkim spojrzeniem.

- To Marisa Danieli.

- O cholera! - mruknął Jordan, robiąc wielkie oczy. - Ale się zmieniła!

- Nie tak bardzo, jak może się wydawać. Trzymaj się od niej z daleka.

- Kto tu kogo ostrzega? Sam pierwszy zdjąłeś rękawice - odparł Jordan, a spojrzawszy bratu przez ramię, zmarszczył czoło. - Ale heca!

Cole obejrzał się. Marisa rozciągnęła liny i zgrabnie przestępując przeszkodę, wkroczyła na ring.

Cole zdjął z głowy bokierski kask. Przepełniona koszulka przykleiła mu się do torsu, spodenki zsunęły się na biodra. Jego wygląd odbiegał od tego, w jakim w roli szefa firmy prezentował się na oficjalnych zebraniach, na których pojawiał się zwykle w marynarce i pod krawatem.

Oddawszy pomocnikowi kask, podszedł do kobiety, która od tygodnia nie pozwalała o sobie zapomnieć.

- Skąd wiedziałaś, że mnie tu znajdziesz? - zapytał, nie wdając się we wstępne uprzejmości.

Marisa zawahała się, jakby nagle opuściła ją odwaga.

- Miałam wiadomość z Puck & Shoot.

Cole uznał, że wcale by się nie zdziwił, gdyby Marisa okazała się bywalczynią ulubionej knajpy hokejowej drużyny Razorsów. Wśród sportowców łatwo mogła zapolować na potencjalne ofiary.

Ona tymczasem wzięła głęboki oddech i podjęła z wymuszonym uśmiechem.

- Zaczniemy jeszcze raz. Cześć, Cole, jak się masz?

- W szkole też zaczynasz lekcje od nauki dobrego wychowania?

- Owszem, zdarza się.

- Nie zwracaj na niego uwagi - wtrącił Jordan. - Matka posyłała nas wprawdzie do na lekcje dobrych manier, ale tylko ja zdałem egzamin - dodał, obdarzając Marisę swoim nieodpartym uśmiechem. - Jestem Jordan, brat Cole'a. Chętnie uściskałbym twoją rączkę, ale - tu spojrzał znacząco na swe bokerskie rękawice - właśnie skończyłem walić w niego jak w bęben.

- Z tego, co widzę, twoje ciosy mu nie zaszkodziły - odparła Marisa, przenosząc wzrok z Jordana na jego brata.

Cole w pierwszej chwili trochę się napuścił, zaraz jednak spochmurniał. Powinien pamiętać, że Marisa ma powody, by mu schlebiać.

- Staramy się nie uszkadzać sobie twarzy - wyjaśnił Jordan.

Cole zdawał sobie sprawę ze swego wyglądu. W sumie nieźle się prezentował, ale brat niewątpliwie przewyższał go urodą. Byli tego samego wzrostu i obaj mieli ciemne włosy, różnił ich jednak kolor oczu: Jordana były zielone, a jego brązowe. A poza tym był szorstki w obojętności, choć akurat to nie miało w tej chwili znaczenia.

Jordan obdarzył Marisę kolejnym olśniewającym uśmiechem.

- Może mnie pamiętasz z czasów, kiedy Cole chodził do liceum.

Tylko myśl o kosztach ortodoncji powstrzymała Cole'a od wymierzenia bratu ciosu w zęby. Nie uszedł jego uwadze fakt, że Jordan pominął bolesną kwestię fatalnego zakończenia szkoły średniej.

- Jordan Serengetti ... ach tak, słyszałam o tobie w wiadomości sportowych - oznajmiła Marisa, aby nie nawiązywać do

czasów szkolnych.

Cole miał tego powyżej uszu.

- Ile razy mam ci powtarzać, że się nie zgadzam? - przerwał im.

- Wciąż liczę, że zmienisz zdanie. Jeśli spróbujesz wysłuchać, co mam do powiedzenia.

- Jak nie on, to ja na pewno chętnie cię posłucham - wtrącił Jordan. - A najlepiej spotkajmy się wieczorem i pogadajmy przy kieliszku szampana. Chyba że wolisz wino.

Cole spiorunował brata wzrokiem.

- Liceum Pershinga urządza uroczystą galę połączoną ze zbiórką pieniędzy i potrzebuje osoby do jej poprowadzenia - uprzejmie wyjaśniła Marisa.

- Podejmuję się - oświadczył Jordan.

- Ale ty nie jesteś naszym absolwentem.

- To drobiazg. Zresztą byłem przez jakiś czas uczniem Pershinga.

Marisa zrobiła krok, zaczepiła obcasem o podłogę ringu i na moment straciła równowagę. Cole wyciągnął rękę chcąc ją podtrzymać, ale ona oparła się o liny, więc szybko opuścił rękę.

Lepiej jej nie dotykaj, upomniał się w duchu. O niebezpieczeństwach, jakimi grozi fizyczny kontakt z Marisą, przekonał się nie dalej jak tydzień temu.

- Ale wybór padł na Cole'a, ponieważ zrobił u nas maturę - odparła Marisa. A spoglądając Cole'owi w oczy, dodała: - Wiem, że masz sentyment do dawnej szkoły. Przez kilka lat odnosiłeś sukcesy w szkolnej drużynie.

- Która dzięki tobie straciła mistrzostwo.

Marisa zmieszkała się na moment.

- Tu nie chodzi o mnie, tylko o szkołę. Zresztą mamy nowego dyrektora.

- Ale ty jesteś jego wysłanniczką.

- I to bardzo atrakcyjną - dorzucił Jordan.

Cole kolejny raz zmroził brata wzrokiem. Był w trudnej sytuacji. Fakt, iż przed laty kochał się z Marisą, powinien pozbawić Jordana prawa do umizgów, ale ponieważ nie zamierzał go wta jemniczać w tak intymne sprawy, nie mógł się powoływać na

prawo pierwszeństwa.

W dodatku Jordan był wytrawnym zdobywcą serc i, w przeciwieństwie do niego, świetnie umiał czarować.

Jordan wzruszył ramionami.

- Może to nie była jej wina.

Nie musiał wyjaśniać, do czego pije.

- To ja rozmawiałam z dyrektorem w jego gabinecie - uczciwie przyznała Marisa.

- Ale żałujesz tego - odpowiedział Jordan.

- Owszem, żałuję roli, jaką wówczas odegrałam.

Były to ze strony Marisy prawie przeprosiny. I chociaż dawno temu puścił w niepamięć karę zawieszenia, jaka go spotkała w ostatniej klasie, to na wybaczenie Marisie jej zdrady długo jeszcze nie będzie gotowy.

- A Cole przeprasza, że jest taki, jaki jest - znowu wtrącił Jordan, rzucając bratu znaczące spojrzenie.

- Jak cholera!

- Okej, normalnie zostawiam mediacje ważniakom z Ligi, ale tym razem spróbuję - nie ustępował Jordan. - Cole żałuje swego ostatniego szkolnego wygłupu.

- Zgoda - wydusił z siebie Cole przez zaciśnięte gardło. Nie mógł sobie jednak odmówić przyjemności dołożenia niewiernemu bratu. - Tylko nie licz na to, że zostaniesz gwiazdą telewizyjnych programów.

Jordan zrobił zboląłą minę.

- Nawet jako komentator sportowy?

- No dobrze, więc skoro robimy rachunek sumienia - podjął Cole niefrasobliwym tonem, spoglądając Marisie w oczy - to może nam powiesz, jaki masz interes w tym, żebym się zgodził.

- Już mówiłam. Zależy mi na tym, żeby w Pershingu powstała nowa sala gimnastyczna.

- A co ci to przyniesie osobiście?

Marisa zagryzła wargi.

- Uhm... Mam nadzieję, że zostanę w przyszłości wzięta pod uwagę jako kandydatka na wicedyrektora szkoły.

- No proszę - mruknął z zadowoleniem, bo potwierdziły się jego podejrzenia, że Marisa chytrze ukrywa, o co jej naprawdę

chodzi. – To zabawne, ale mogłem się raczej spodziewać, że wysłaś za męża i hołubisz stadko dzieci.

Marisa zbladła.

– Jeszcze kilka miesięcy temu byłem zaręczona – rzekła cicho.

– Doprawdy? Z kimś, kogo znam? – Czyżby usidliła kogoś z dawnej klasy? Raczej nie.

– Możliwe. Jest agentem sportowym, nazywa się Sal Piazza.

Jordan gwizdnął.

– Możesz go znać, bo obecnie spotyka się z twoją niedawną partnerką – dodała, spoglądając na Cole'a. – Z Vicki Salazar.

A niech to diabli!

– Hej, to chyba dałoby się określić jako powinowactwo drugiego stopnie, nie? – z udaną powagą zauważył Jordan.

Cole poczuł, że chodzą mu mięśnie twarzy.

– Jordan, zamknij się wreszcie.

Rozejrzał się po hali. Ich rozmowa wzbudziła ogólne zainteresowanie. Faceci pewnie myślą, że to kłótnia kochanków i kombinują, czy nie uda się zaczepić Marisy, kiedy będzie wychodzić.

– Przestańcie, robimy z siebie widowisko.

Marisa wyraźnie się spłoszyła.

Cole chwycił ją za ramię, zapominając o rozsądku.

– Chodźmy stąd. – Podniósł górne liny. – Idź pierwsza.

Marisa zerknęła na Jordana.

– On zostaje – rzucił Cole.

Zeszli po schodkach z ringu. Ignorując gapiących się sportowców, Cole zaprowadził Marisę do bocznych drzwi hali, prowadzących na parking. Kiedy dotarli do wyjścia, stanął przed nią.

– Naprawdę zaręczyłaś się z Saleem Piazza? – zapytał.

– Owszem, ale to już przeszłość.

– Nadal ciągnie cię do facetów związanych ze sportem?

– Wolno się uczyć.

Kiedyś, dawno temu, kiedy się kochali, była przeciwieństwem wolno uczącej się osoby. Wydawała mu się wtedy najśłodsza i najmądrzejszą istotą na świecie.

Zaklął w duchu. Nie wolno mu myśleć o niej w ten sposób. Nawet teraz, gdy płynące z pobliskiego okna promienie słońca

otaczają jej głowę świetlistą aureolą a jej oczom nadają szczególny błysk. Najbardziej jednak kusiły jej usta. Słodkie, różowe, nieumalowane, jakby jeszcze dziś, po piętnastu latach, nadal oczekiwały pocałunku.

- Czy dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się.

- Świetnie. Nauczycielki nagabują mnie od rana do nocy. - Oblała się rumieńcem. - Jeśli przyszedł tutaj po to, żeby zrobić na mnie wrażenie, to ci się udało. A przy okazji na większości boksujących facetów.

- Nie moja sprawa, jeśli mają kręćka na punkcie zapracowanych, marnie opłacanych nauczycielek.

Omal nie parsknął śmiechem.

- Uważasz, że wysiłki, żeby mnie zwerbować, są zbyt pracochłonne i mało opłacalne?

Marisa zacisnęła wargi.

- Czy ten agent, z którym byłaś zaręczona, nie podsunął ci paru sposobików na werbowanie sportowców? - Nasyciwszy się swoim docinkiem, popatrzył na nią, przekrzywiając głowę. - Dziwne, jakoś nie robisz na mnie wrażenia kobiety w typie Sala Piazzzy.

- Bo nie jestem - odparła tonem mogącym sugerować, że gdyby miała pod ręką hokejowy kij, zrobiłaby z niego użytek. - Zostawił mnie dla Vicki.

- Zdradzał cię?

- Twierdził, że nie doszło między nimi do... seksu. Powiedział, że spotkał inną kobietę i... stracił dla niej głowę. - Mówiąc to, Marisa nie mogła pojąć, dlaczego mu się zwierza.

- Wychodzi na to, że zerwał z tobą, aby zaciągnąć Vicki do łóżka - mruknął Cole z kwaśnym uśmiechem. - Mógłbym go uprzedzić, że Vicki lubi wiele rzeczy, byle to nie był seks.

- Nie bądź wulgarny.

Co ten Sal ma w głowie? Przecież Vicki nie umywa się do Marisy. Pierwsza smakuje jak zerokaloryczna dietetyczna cola, której można wyzłopać hektolitry, nie zaspokajając pragnienia, podczas gdy druga jest niczym dekadentcki deser, który można przypłacić śmiercią.

Nadal się głowił nad rozwiązaniem zagadki związku Marisy

z Salem. Facet ma bzika na punkcie sportu i wejścia do pierwszej ligi agentów sportowych. Natomiast Marisę, w każdym razie w czasach szkolnych, sport kompletnie nie interesował – pomijając bliskie stosunki z kapitanem młodzieżowej drużyny hokejowej.

Zarazem Sal, którego Cole spotkał parę razy na jakichś sportowych uroczystościach, zrobił na nim wrażenie spokojnego i zrównoważonego człowieka. Był mężczyzną średniej postury, nie grzeszącym urodą, uprzejmym i bezbarwnym. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Marisa uznała, że znajdzie w nim partnera, na którym będzie mogła polegać. A że się na nim zawiodła, to inna sprawa.

- Kiedy rozstałaś się z Salem? – zapytał.

- W styczniu.

Cole i Vicki widzieli się po raz ostatni w listopadzie.

- Niepokoisz się, że Vicki mogła cię zdradzać z byle agentem?

- Nie. – Jego niezobowiązujący flirt z Vicki nie zasługiwał nawet na miano romansu. Niemniej kusilo go, by poddać Marisę kolejnej próbie. – W tak zwanym porządku dziobania nawet były hokeista stoi wyżej niż agent sportowy.

Jej oczy zapłonęły oburzeniem.

- Sugerujesz, że od czasów szkolnych przestałam się szanować?

- Tylko ty sama możesz to ocenić.

Jej emocjonalna reakcja sprawiła mu satysfakcję. Do tej pory Marisa robiła, co mogła, aby zachować pozory uprzejmej rzeczowej rozmowy.

- Twoja pycha przyprawia o zawrót głowy.

- Nic na to nie poradzę, że kobiety lecą na mnie z powodu wielkiego...

- Nie kończ!

- ...rozgłosu, jakim się cieszę.

- Nie można z tobą rozmawiać.

- Poddajesz się? – Rozejrzał się. – To był niezły sparing. Zadałiśmy sobie parę celnych ciosów. Przyjmuję twoją kapitulację.

- Tak jak moje przeprosiny?

- To były przeprosiny? – zapytał, wskazując ruchem głowy

ring pośrodku sali.

- A jak myślisz?

- A jeśli nic nie myślę?

Usta jej zadrżały, ale w oczach nadal płonął ogień.

- W takim razie przejdę do planu B i skorzystam z oferty Jordana. Jak tylko przekonam kierownictwo szkoły, że może cię świetnie zastąpić.

Zrobiła krok w kierunku drzwi, lecz Cole ją przytrzymał.

- Nie zbliżaj się do mojego brata. Wystarczy, że zaszłaś za skórę jednemu z nas. Nie pozwolę, żebyś i jemu zawróciła w głowie.

Nadal ma z nią na pieńku. Mimo upływu lat nie był w stanie jej wybaczyć tego, co się wówczas wydarzyło.

- Pochlebia mi tak wysoka ocena moich złych mocy, ale Jordan jest dorosły i potrafi o siebie zadbać.

- Ja nie żartuję.

- Ja też nie. Mam coraz mniej czasu na znalezienie znanej osoby do poprowadzenia zbiórki.

- Zostaw Jordana w spokoju.

- To się okaże. Do widzenia, Cole.

Po jej odejściu patrzył przez chwilę w zamyśleniu na drzwi, za którymi zniknęła.

Nie osiągnęła wprawdzie tego, o co zabiegała, ale i on nie był zadowolony z przebiegu nieoczekiwanego spotkania. Niech to diabli!

Musi uprzedzić Jordana, by trzymał się od Marisy z daleka, ale na pewno nie wspomni bratu o tym, że się z nią kiedyś prześpał.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cole musiał poczekać tydzień na okazję kolejnego spotkania z bratem, ponieważ Jordan miał w tym czasie trzy wyjazdowe mecze. Za najlepsze miejsce na odbycie decydującej rozmowy uznał dom rodziców.

Zatrzasnąwszy drzwi samochodu, popatrzył na zbierające się na niebie burzowe chmury. Pogoda dobrze oddawała jego nastrój.

W tym, że na podjeździe nie dostrzegł samochodu Jordana, nie było nic niepokojącego. Brat na pewno wkrótce się zjawi. Umówili się na dzisiejszy wieczór. Irytacja, jaka towarzyszyła mu przez cały tydzień, od czasu ostatniej rozmowy z Marisą, wkrótce minie. Marisa i Jordan? O nie, po jego trupie!

Skierował kroki ku domowi starszych państwa Sereghettich. Była to willa w śródziemnomorskim stylu o białych ścianach, kryta czerwoną dachówką. Willę otaczał bujny ogród, królestwo matki, jej duma i radość.

W miarę rozwoju przedsiębiorstwa budowlanego Serga rodzina zajmowała coraz okazalsze domy. Do obecnej siedziby wprowadzili się, kiedy Cole chodził do liceum. Zaprojektowana z rozmachem obszerna budowla mogła swobodnie pomieścić całą rodziną trzódkę i odwiedzających krewnych.

Zacisnął zęby na myśl, że Marisa mogła dopaść Jordana w ciągu ubiegłego tygodnia. Musi go ostrzec. Być może zmieniła się od czasów szkoły, ale lepiej nie ryzykować. A może blefowała, mówiąc o swoim „planie B”? Tak byłoby najlepiej.

Odkąd Marisa wdarła się na nowo w jego życie, Cole'a coraz częściej nawiedzały wspomnienia. W Pershingu wiele aspektów swojej sytuacji uważał za coś naturalnego - to, że był najlepszym hokeistą, że miał powodzenie u dziewcząt, że dzięki pieniądzom rodziców mógł się uczyć w ekskluzywnej prywatnej szkole. A jednocześnie wychodził ze skóry, by dokonywać więcej

i jeszcze więcej, zarówno na lodowisku, jak poza nim. W ten sposób szykował sobie zgubę – za pomysł splątania szkole superfigla zapłacił utratą szansy rozegrania najważniejszego meczu i pierwszym zawodem miłosnym.

Marisa nie należała do kręgu jego szkolnych przyjaciół, ale też nie oceniała ich ani nie krytykowała. Tak mu się przynajmniej wydawało. A potem haniebnie go zdradziła.

To, jak Jordan umizgał się do Marisy podczas spotkania w hali bokserskiej, bardzo go zezłościło. Nie miało to, rzecz jasna, nic wspólnego z zazdrością. Uczucie zazdrości było mu obce. Marisa jest kobietą niezwykle pociągającą, ale mężczyzna w jego wieku zdaje sobie sprawę, czym grozi uleganie czysto fizycznemu pożądaniu.

Jako zawodowy hokeista cieszył się u kobiet wielkim powodzeniem, jednak przelotne flirty szybko przestały mu smakować. A kiedy Jordan zaczął grać w lidze, starszy brat zrobił mu wykład na temat pokus, jakie niosą z sobą sława i pieniądze. Oczywiście Jordan był dziś pod tym względem starym wygą, niemniej Marisa miała w sobie niebezpieczny podstępny czar.

Cole otworzył drzwi, które nie były zamknięte na klucz, a gdy przekraczał próg, rozległy się dźwięki arii z musicalu „Kiss Me Kate”. Jego matka do tego stopnia uwielbiała muzykę Cole’a Portera, że swemu pierworodnemu nadała jego imię.

On sam nie potrzebował w życiu ścieżki dźwiękowej – a już na pewno nie tej pochodzącej z musicalu opartego na „Poskromieniu złośnicy” Szekspira. Zdawał sobie sprawę, że jego szanse na poskromienie Marisy są takie same, jak na powrót do zawodowego hokeja. Zresztą wcale mu na tym nie zależało.

Przeszedłszy w głąb domu, zastał matkę w ogromnej kuchni, w której unosił się, jak zwykle, zapach jakiejś pysznej potrawy.

– Ach, Cole – przywitała go pani Serengetti, wymawiając z włoska końcowe „e”. – Co za miła niespodzianka, *caro*.

Camilla Serengetti od dawna biegle władała angielskim, ale mówiła nadal z włoskim akcentem i wtrącała włoskie słowa. Ona i Serg zakochali się w sobie i pobrali w Toskanii, gdzie on spędzał wakacje, a ona, jako dwudziestolatka, pracowała w hotelowej recepcji.

- Cześć, mamó. Gdzie tata?

- Odpoczywa. Miał dzisiaj dwie męczące wizyty, pielęgniarki i fizykoterapeuty.

Cole pokiwał głową, sięgając jednocześnie po kawałek smażonej cukinii. Camilla Serengetti zrobiła późną karierę jako gwiazda kulinarnego programu lokalnej telewizji. Zdaniem zarówno kierownictwa stacji, jak i widzów, jej włoski akcent dodawał programowi autentyzmu.

- Nie objadaj się przed kolacją. Poczekaj na gnocchi.

Cole obejrzał się na dźwięk kroków.

- Skąd wiedziałeś, że mama robi gnocchi? - zapytał wchodzącego do kuchni Jordana.

- Wymieniliśmy z mamą esemesy. Mama chce w najbliższym programie zaprezentować nowo wymyślony przepis na gnocchi, a my mamy jej posłużyć za króliki doświadczalne.

- Wyobraźcie sobie, że mój program zmienia nazwę na „Włoskie smaki prezentuje Camilla Serengetti”! Co wy na to? - oznajmiła dumnie pani domu.

- Gratulacje, mamó! - zawołali synowie chórem.

- Ale muszę zaprosić nowego gościa programu.

- Tylko nie mnie - zaprotestował Jordan. - Kiedy ostatni raz byłem u ciebie gościem, przypaliłaś przeze mnie cebulę. Cole też nie spisał się najlepiej.

Cole nie sądził, aby obecność jego czy Jordana podniosła popularność matczynego programu, niemniej był gotów się poświęcić. Nim jednak zdążył to zrobić, matka oświadczyła:

- Potrzebuję kogoś nowego.

- Popytam wśród kolegów z lodowiska - ofiarował się Jordan.

- Może znajdzie się jakiś hokeista mający pojęcie o gotowaniu.

- A propos hokeja - wtrącił Cole, zwracając się do brata. - Świetnie wczoraj grałeś. Szkoda tylko, że przez niezgulstwo tego Peltiera nie strzeliłeś ostatniego gola.

- Niech go szlag trafi! Jest do niczego. - A zniżając głos, by matka nie usłyszała, dodał: - Zasłużył na to, żeby ktoś zerznął mu dupę.

Ta aluzja przypomniała Cole'owi o jego misji.

- Czy Marisa próbowała się z tobą skontaktować?

- Nie. Dlaczego pytasz?
- Bo ona nadal szuka prowadzącego na swoją galę.
- Przecież chodziło jej o ciebie.
- Stanowczo jej odmówiłem.
- Co za hart ducha!
- Proszę, żebyś zrobił to co ja.
- O nic się do mnie nie zwracała. Ale mam dla ciebie inną ciekawą wiadomość.

Camilla postawiła półmisek gnocchi na blacie.

- Pójdę zobaczyć, jak się ma ojciec - oznajmiła.

Ku zmartwieniu rodziny Serg, który parę miesięcy wcześniej przeszedł ciężki zawał, wciąż niedomagał.

- O co chodzi? - spytał Cole, kiedy matka zniknęła za drzwiami.

- Słyszałem, że firma JM Construction dostanie kontrakt na budowę sali gimnastycznej w Pershingu.

To byłoby z jej strony jeszcze większe świństwo niż zwerbowanie Jordana, pomyślał Cole.

W ostatnich kilku miesiącach firma JM Construction już dwukrotnie sprzątnęła mu sprzed nosa obiecujące zamówienia. Obie operujące na tym samym terenie firmy stale z sobą konkurowały, a jakkolwiek budowa sali gimnastycznej mało znaczyła w sensie finansowym, to jednak przyniosłaby wykonawcy spory rozgłos.

- Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Obiło mi się o uszy w knajpie Puck & Shoot - odparł Jordan.
- Warto tam wpadać, bo niejedno można usłyszeć. Babki też są niczego.

- Domyślam się - mruknął Cole. Pamiętał, że Marisa właśnie tam się dowiedziała, gdzie go szukać. - To dziwne, że w tej swojej knajpie nie natknąłeś się na Marisę.

- Jakoś mi ona nie pasuje do sportowego towarzystwa.

- Jeszcze niejednym może cię zaskoczyć.

- Tak czy inaczej, siedząc i nudząc się, napomknąłem mimochodem, czy ktoś nie miałby ochoty ozdobić swoją osobą zbiórki pieniędzy na rzecz szkoły. Czulem, że urwałbyś mi głowę, gdybym sam się na to zgodził.

- Mądry chłopiec.
- No i w pewnym momencie Jenkins... może go pamiętasz, chodził do niższej klasy i grał w drużynie juniorów...
- Owszem, pamiętam go.
- No więc Jenkins na to, że faceci z JM Construction mają obiecany kontrakt na budowę sali gimnastycznej dla Pershinga i dziwi się, dlaczego chcą robić im reklamę.
- I co, nadal wierzysz, że Marisa się zmieniła?
- Może ona nic nie wie o jakichś tajnych umowach.
- Zobaczymy. Muszę to wyjaśnić.

Marisa miała po raz pierwszy w życiu wkroczyć do siedziby Serengetti Construction, które zajmowało odnowiony i unowocześniony dwadzieścia lat temu budynek dawnej fabryki. Nigdy by się nie ośmieliła przekroczyć jego progu, gdyby nie otrzymała zaproszenia.

Co prawda Cole nie zaprosił jej osobiście, tylko za pośrednictwem sekretarki, niemniej Marisa nabrała nadziei, że jego opór osłabł. Wzmianka o planie B była czystym blefem, nie miała zamiaru zwracać się do Jordana o uświetnienie gali. Po pierwsze, bo nie był absolwentem Pershinga, a po drugie, Cole zrobiłby wszystko, aby do tego nie dopuścić.

Wstrzymując oddech, weszła do eleganckiego, urządzonego ze smakiem wnętrza. Recepcjonistka uprzedziła o pojawieniu się gościa, po czym odebrała od Marisy płaszcz i zaprowadziła ją do narożnego gabinetu.

Serce biło jej coraz mocniej. Kiedy recepcjonistka otworzyła drzwi, w głębi pokoju zobaczyła opartego o biurko Cole'a. Ich spojrzenia się spotkały. Idąc ku niemu, poczuła się dziwnie skrępowana własną kobiecością.

- Masz niespokojną minę - zauważył Cole. - Czy to dlatego, że spodziewasz się trzeciej odmowy?
- Po co byś mnie wzywał, gdybyś chciał znów powiedzieć nie?
- Bo może karanie cię wciąż od nowa za dawne przewinienie sprawia mi sadystyczną przyjemność.

Marisa zacisnęła wargi. Rozglądając się po pokoju, zauważyła, że nie ma w nim niczego osobistego, bodaj jednej rodzinnej

fotografii. Gabinet wydawał się równie nieodgadniony jak jego użytkownik.

- Nie, nie o to chodzi - podjął Cole z zimnym uśmiechem. - Chcę ci, ślicznotko, zaproponować układ. Przyjmę twoją propozycję, jeżeli Serenghetti Construction otrzyma kontrakt na budowę sali gimnastycznej w Pershingu bez żadnych warunków wstępnych.

- Aha!

- Jesteś zaskoczona? Ja też. Omal nie wyskoczyłem ze skóry, kiedy do mnie doszło, że chcesz, abym robił reklamę obcej firmy budowlanej. I to nie pierwszej lepszej, ale naszego bezpośredniego konkurenta, który ostatnio dwa razy wykluczył nas z przetargu, zaniżając ceny.

- Jestem pewna, że wybór wykonawcy odbędzie się z zachowaniem najwyższych standardów.

- Boję się, że zachowanie standardów to najmniejsze z twoich zmartwień.

Marisa miała wrażenie, jakby weszła do teatru w trakcie drugiego aktu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Cole uważnie się jej przyjrzał.

- Czy brałaś udział w posiedzeniach zarządu szkoły?

- Nie.

- Treść oficjalnych rozmów jest upubliczniana, ale za kulisami odbywają się pokątne machinacje. Ty mi pójdziesz na rękę, a ja ci się odwdzięczę. Zgodzę się na faceta, którego sobie wybrałaś na gwiazdę programu, a ty za to poprzysz wybór mojego dewelopera. Tak to się odbywa.

Marisa poczuła się jak ostatnia idiotka. Nie mająca pojęcia o tym, co się dzieje za jej plecami. Miała ochotę zapaść się w fotel i zasłonić twarz rękami. Ale dałoby to Cole'owi tym większą przewagę.

- To korupcja.

- Takie jest życie.

- O niczym nie wiedziałam.

- Aha.

- Wierzysz mi?

- W tym przypadku jestem skłonny przyjąć, że odegrałaś rolę pierwszej naiwnej.

- Więc jednak oceniasz mnie trochę lepiej niż piętnaście lat temu.

- Mam dość rozsądku na to, żeby nie obwiniać cię bez powodu.

- Chcesz powiedzieć, że nauczyło cię tego doświadczenie - odparła z przekąsem.

Cole rzucił jej przenikliwe spojrzenie, po czym oświadczył:

- Powiem ci, co powinnaś zrobić. Powiesz dyrektorowi, że zgodzę się poprowadzić zbiórkę pod warunkiem...

- ...że kontrakt na budowę sali przypadnie firmie Serengetti Construction - dokończyła Marisa.

Odczuła taką ulgę, że najchętniej skakałaby z radości.

Cole skinął głową.

- Niech dyrektor sam radzi sobie z zarządem. Jeśli dobrze to rozegra, zwolennik firmy JM Construction powinien się szybko wycofać.

- A jeśli będzie się upierał?

- Nie sądzę, zwłaszcza jeśli obiecuję, że Jordan wystąpi razem ze mną. Liceum Pershinga jest szkołą prywatną, która nie jest prawnie zobowiązana do wyboru najtańszej oferty. Zawarcie kontraktu z nami ma sens, gdyż szkoła oszczędzi pieniądze, które w przeciwnym razie musiałaby zapłacić komu innemu za prowadzenie gali.

- Pomyślałaś o wszystkim.

- Niezupełnie. Bo nadal muszę mieć z tobą do czynienia.

- Prawdziwe nieszczęście!

- Widzę, że zhardziałaś, odkąd masz mnie na widelcu.

- Bo nie kryjesz, że potrafisz być bezwzględny wobec biznesowych konkurentów.

- Tak jak twój obmierzły były narzeczony? A w ogóle, to jak poznałaś Sala? Stałaś się bywalczynią barów, do których uczęszczają sportowcy?

- Skoro bywam w halach bokserskich, to dlaczego nie miałabym odwiedzać barów dla sportowców? - zapytała czupurnie.

- Do Jimmy'ego przyszałaś tylko ze względu na mnie.

- Bez komentarza.
- Przy okazji powiem ci, że powiewna sukienka i pantofle na wysokim obcasie to nie jest odpowiedni strój do hali sportowej.
- Przyszłam prosto po lekcjach w szkole. Jesteś nieznośny i w najwyższym stopniu irytujący.
- Miło mi słyszeć, że nie czujesz się ze mną swobodnie.
- Ich spojrzenia spotkały się i Marisę przeszedł dreszcz. Nerwowo zwilżyła wargi. Jego wzrok spoczął na jej ustach.
- Nadal wypłakujesz po nim oczy? - spytał Cole po chwili.
- Po kim?
- Po Salu.
- Nie bardzo.

W pierwszej chwili zdrada narzeczonego głęboko Marisę dotknęła. Ale nie do tego stopnia, by wpaść w rozpacz. Nie było porównania z tym, jak ciężko przeżyła zerwanie z Cole'em, swoją pierwszą szkolną miłością. Więc albo dojrzała od tamtej pory, albo nie była do Sala tak mocno przywiązana, jak to sobie wmaśniała.

- Bo i nie warto - mruknął Cole. - Sal to zdraдлиwa bestia.
- A ty nigdy nie zdradziłeś kobiety, z którą byłeś?
- Cole skrzywił się.
- Moje związki z kobietami mają wyłącznie przelotny charakter. Ale nie odpowiedziałas na pytanie, jak poznałaś Sala.
- Poznaliśmy się w barze. Koledzy nauczyciele wybrali się w piątkowy wieczór na drinka i namówili mnie, żebym się przyłączyła. Jeden z nich znał kogoś, kto znał Sala... - Na moment urwała. - Tak czy inaczej, zrobił na mnie wrażenie człowieka, na którym można polegać.
- Słowem, materiał na dobrego męża. A tymczasem zawiódł cię.
- Na czym, twoim zdaniem, powinien się opierać stały związek? Na przelotnym uczuciu pożądania, które wyparuje szybciej niż kałuża po deszczu? - zapytała pozornie rzeczowym tonem, jakby wcale nie robiła aluzji do niego, co oczywiście nie było prawdą.
- Różnica polega na tym, że mnie nie zależy na trwałym związku.

- Ale mnie się wydawało, że można mu zaufać... - odparła. W tamtym czasie marzyła o zwykłym stabilnym życiu, domku na przedmieściach, o dzieciach i... o egzystencji wolnej od finansowych kłopotów.

Cole wyraźnie się zirytował.

- Sal to sportowa wersja handlarza używanymi samochodami. A robi miny, jakby był nie wiadomo kim.

- Z tego, co zdołałam zaobserwować, większość zawodowych sportowców zachowuje się, jakby byli nie wiadomo kim.

Prowadzili dziwną rozmowę, jakby ślizgali się po powierzchni dzielącego ich morza emocji. Każde spotkanie z Cole'em było dla Marisy głębokim przeżyciem, znacznie głębszym, niż się spodziewała.

- Hokej to zawód - mruknął, wzruszając ramionami.

- Bycie nauczycielem to też zawód.

- Nie wątpię. Od kiedy uczysz u Pershinga?

- Odkąd skończyłam studia, od blisko dziesięciu lat. - Skierowała się ku drzwiom, ale przystanąła. - Ukończenie studiów na Uniwersytecie w Amherst i uzyskanie dyplomu nauczycielskiego zajęło mi ponad pięć lat, gdyż przez cały czas musiałam dorywczo pracować.

Zauważyła, że Cole jest wyraźnie zaskoczony. Wprawdzie uniwersytet przyznał jej stypendium, ale i tak musiała dorabiać na swoje utrzymanie. Wiedziała natomiast, że Cole nie musiał pracować, aby móc studiować w prestiżowym Boston College i tym bardziej doceniała fakt, iż zarówno na studiach, jak i wcześniej, w Pershingu, praktykował w rodzinnej firmie budowlanej.

- Pamiętam, że w szkole było u ciebie krucho z pieniędzmi.

- W szkole też miałam stypendium. Ale podczas wakacji i w weekendy pracowałam jako ekspedientka w lodziarni Ben & Jerry's.

- Ach tak, pamiętam.

Ona też pamiętała, i to jeszcze jak! Nigdy nie zapomni dziewcząt ze szkoły, wielkich amaterek lodów, które niekiedy obsługującej je koleżance dawały odczuć swoją wyższość. Chłopcy omijali lodziarnię szerokim łukiem, tylko Cole wpadał tam podczas niedługiego okresu ich bliskości.

- Ty też pracowałeś w wakacje w firmie ojca.
- Przez całe studia.
- Chociaż nie musiałeś - rzuciła i zaraz poczuła się nieswojo, bo nagle przestali się spierać.
- To prawda. Robiłem to z poczucia obowiązku wobec rodziny.
- I dlatego teraz podjąłeś się kierowania firmą?
- Uhm. Przynajmniej na pewien czas. Mam w zanadrzu inne pomysły.
- Planujesz wrócić do hokeja?
- Nie jako zawodnik. Ale mógłbym, na przykład, zostać trenerem.

Marisie zamarło serce, zaraz jednak przywołała się do porządku. Co ją może obchodzić, jakie Cole ma plany? I dlaczego miałyby się obawiać jego ewentualnego wyjazdu z Welsdale?

- Jak się ma twój ojciec? - zapytała, kierując rozmowę na bezpieczniejsze tory. Wszyscy w mieście słyszeli o zawale Serga Serenghettiego.

- Przechodzi intensywną rehabilitację, ale chyba nie będzie w stanie dłużej prowadzić firmy. Niemniej robi, co może, żeby odzyskać formę.

Marisa uśmiechnęła się, a Cole też się odprężył.

- Co słyhać u twojej matki? - spytał. Mogło się wydawać, że odpowiadają mu niezobowiązujące rodzinne pogaduszki.

- Wyszła niedawno za mąż. Jej mąż jest cieślą. - Ted Millepied był porządnym człowiekiem, darzącym jej matkę uwielbieniem.

- Gdzie mieszkają? Może mógłbym go zatrudnić.

- Nie wierzysz w winę przechodzącą na przeszłe i przyszłe pokolenia? - wypaliła bez zastanowienia.

Cole jakby otrzeźwiał.

- Wbrew temu, co sugeruje mój nieznośny braciszek, nie jestem aż tak mściwy - odparł ironicznie.

- Matka wciąż mieszka w Welsdale - podjęła Marisa. - Pracuje nadal w domu towarowym Stanhope'a, obecnie na stanowisku kierowniczkii działu, a od niedawna spotkał ją kolejny awans na szefa zaopatrzenia w sprzęt domowy.

Marisa była bardzo dumna z matki, która ucząc się nocami i w weekendy, uzyskała dyplom i z ekspedientki została kierow-

niczka w sklepie należącym do największego w Welsdale centrum handlowego.

Zdała sobie sprawę, że Cole uważnie się jej przygląda. Dość tej gadaniny, pomyślała. Powinna się stąd zabierać.

- No tak - rzekła, zmieniając ton. - Jeżeli kierownictwo Pershinga przyjmie twoje warunki, wystąpisz na naszej gali, tak?

- Tak jest.

- Znakomicie. - Wyciągnęła rękę. - Umowa stoi.

Kiedy uścisnął jej dłoń, Marisę przeszedł dreszcz. Ich oczy spotkały się, chwila przedłużała się... Stali tak blisko siebie, że widziała igrające w jego źrenicach złote błyski. Przełknęła ślinę. Cole skierował wzrok na jej usta.

- Czy to, co powiedziałaś Jordanowi, było na serio?

- To znaczy co?

- O swoim planie B.

- Nie mam żadnego planu B.

- Żałujesz, że naskarżyłaś na mnie w szkole?

- Nie ma dnia, żebym nie czuła żalu z powodu okoliczności, które do tego doprowadziły.

- Wolałabyś, żeby sprawy między nami potoczyły się inaczej?

- Tak.

- Ja też.

Brzęk telefonu komórkowego przerwał magiczny moment. Marisa cofnęła się, Cole sięgnął do kieszeni.

Prowadząc rozmowę, nadal nie odrywał od niej wzroku. Z wyrazu jego twarzy wyczytała: „Do zobaczenia. Jeszcze z sobą nie skończyliśmy”. Skinąwszy głową, odwróciła się i wyszła z gabinetu.

Zjeżdżając windą i potem, oddalając się chodnikiem, zadawała sobie pytanie, co Cole miał na myśli, mówiąc o pragnieniu, by sprawy między nimi potoczyły się inaczej. I dlaczego patrzył, jakby mówił: „Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy”?

Czyżby po piętnastu latach mieli dopisać inne zakończenie?

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Ach, Cole, pragnę cię - szepnęła Marisa, wpatrując się w niego szeroko rozwartymi oczami.

- Wiem - usłyszał swój zdławiony szept.

Byli dla siebie stworzeni. Od piętnastu lat czekał na tę chwilę. Zrobi wszystko, żeby było jej dobrze. Dotknął jej warg, a ona otworzyła usta i ich języki spotkały się. Czuł narastające pożądanie.

- Och, Cole! Pragnę cię, tak strasznie cię pragnę.

- Już, najdroższa. - Nie przestając patrzeć jej w oczy, wszedł w nią, najgłębiej jak tylko mógł. Była mokra i gorąca. Był o krok od zatopienia się w bezrozumnej rozkoszy...

Cole ocknął się nagle ze snu i rozejrzał nieprzytomnym wzorkiem. Leżał nagi, miał erekcję i był sam w łóżku.

Popatrzył ze złością na rozkopaną przeпоconą pościel. Spojrzawszy na zegarek, przekonał się, że za godzinę powinien być w biurze. Wstał i ruszył pod prysznic.

Apartament na najwyższym piętrze przedwojennej kamienicy w centrum Welsdale kupił jeszcze w czasach zawodowej kariery sportowej, aby mieć w rodzinnym mieście własne niekrępujące lokum. A przy okazji zrobił dobrą inwestycję.

Obaj bracia mieli mieszkania w bliskim sąsiedztwie, tylko siostra Cole'a wołała podczas pobytów w Welsdale zatrzymywać się w Casa Serengetti, jak rodzeństwo nazywało w żartach rezydencję starszych państwa.

Stał długo pod chłodzącym rozpalone ciało zimnym strumieniem wody, tłumacząc sobie, że śnił o Marisie jedynie z chęci pokonania jej. Seks miał być metaforą zwycięstwa. Bo z pewnością nie życzył sobie powtórki ich szkolnej przygody. Nie wiedział nawet, czy może jej ufać.

Gdy tylko wkroczył, jak zwykle punktualnie, do swego gabinetu, sekretarka dała mu znać, że dzwoni dyrektor liceum Pre-

shinga, pan Dobson.

Czyli Marisa zdążyła już porozmawiać z szefem, a ten natychmiast zareagował.

Cole przeprowadził dyskretny wywiad i dowiedział się, że jeden z członków zarządu szkoły grywa w golfa z dyrektorem generalnym firmy JM Construction.

- Dzień dobry panu, Cole Serenghetti przy telefonie. Czym mogę służyć? - powiedział obojętnym, niemal zdawkowym tonem.

Po trwających dobre parę minut uprzejmościach pan Dobson przeszedł do rzeczy, dziękując wylewnie swemu rozmówcy za to, że zgodził się wystąpić na szkolnej gali, a jego firma jest gotowa podjąć się budowy nowej sali gimnastycznej.

Cole rozparł się wygodnie w fotelu. Marisa najwyraźniej dała swemu szefowi do zrozumienia, że jego wystąpienie zależy od zawarcia przynajmniej ustnego porozumienia w sprawie budowy. Niemniej musiał uzyskać bardziej zobowiązujące zapewnienie.

- Proszę pana, bardzo się cieszę i proponuję, abyśmy się spotkali w przyszłym tygodniu dla omówienia architektonicznej wizji nowej sali gimnastycznej oraz kwestii kosztów i terminów, a ja na tej podstawie złożę zarządowi szkoły konkretną ofertę.

Po chwili wahania Dobson przystał na tę propozycję.

- Nie mam nic przeciwko temu - podjął Cole - aby w naszym spotkaniu uczestniczyli członkowie zarządu szkoły. Chciałbym mieć pewność, że współpraca z Serenghetti Construction nie budzi niczyjego sprzeciwu.

W słuchawce znowu zapadło krótkie milczenie, po czym dyrektor oświadczył:

- Zapewniam pana, że wszyscy członkowie zarządu z radością przyjmą wiadomość zarówno o pana udziale w zbiórce pieniędzy, jak i zaangażowaniu pańskiej firmy.

Pan Dobson najwyraźniej umiał liczyć i zdawał sobie sprawę z finansowych korzyści, jakie przyniesie szkole darmowy udział w gali dwóch gwiazd hokeja. Cole zanotował w pamięci, aby poinformować Jordana, że obaj wezmą udział w zbiórce.

A uznając potrzebę odwdzięczenia się Marisie za dotrzymanie

słowa, dodał:

- Wydaje mi się ponadto, że byłoby dobrze, gdyby organizatorka gali, czyli pani Daniela, była obecna na naszym spotkaniu. Znajomość szczegółów ułatwi jej pertraktacje z potencjalnymi darczyńcami.

- Świetna myśl - przytaknął Dobson.

Skończywszy rozmowę, Cole zadzwonił do Jordana i bez wstępów oświadczył:

- Zanotuj sobie w głowie, że razem ze mną weźmiesz udział w zbiórce pieniędzy na budowę sali gimnastycznej w Preshingu. O terminie powiadomię cię, kiedy Marisa poda mi dokładną datę.

Mówiąc to, Cole otworzył skrzynkę nadawczą i zaczął pisać mejla do Marisy. Oprócz daty chciał wiedzieć, jaki strój będzie obowiązywał podczas gali. A ponadto musiał jej dać znać, że Jordan również weźmie w niej udział.

W słuchawce rozległ się zduszony śmiech.

- Najpierw każesz mi się trzymać jak najdalej od niej, a teraz chcesz, żebym był ozdobą jej gali? Jesteś tak niestały, że nie wiem, czy powinienem się z tobą umawiać na randki.

Cole mógł przewidzieć, że Jordan skorzysta z okazji, aby się powygłupiać.

- Nie pajacuj, głuptasie. Odezwę się - rzucił do słuchawki i wyłączył telefon.

Następnie dokończył mejla i wysłał go na elektroniczny adres liceum. Rozsiadłszy się w fotelu, pomyślał z satysfakcją o swoim zwycięstwie nad JM Construction.

Wkraczając ponownie, w czwartek po południu, do biura Serenghetti Construction Marisa czuła się znacznie pewniej niż za pierwszym razem.

Miała za sobą zeszłotygodniowe spotkanie, podczas którego pan Dobson, Cole i współpracujący z nim architekci omawiali różne aspekty umowy w sprawie budowy sali. Dyskusja obejmowała szeroki wachlarz zagadnień, takich jak administracyjne procedury, zezwolenia, wybór materiałów budowlanych, szczególnie planowanej konstrukcji, itp. Marisa pilnie wszystko noto-

wała, niemniej po zakończeniu narady zdała sobie sprawę, ile jeszcze będzie się musiała nauczyć, jeśli chce zostać wicedyrektorką szkoły.

Od tamtej pory zdążyła w pewnym stopniu uzupełnić swoją wiedzę, dziś bowiem miała samodzielnie rozmawiać z Cole'em. Dyrektor szkoły polecił jej zapoznać się z dokumentacją obiektów sportowych, które firma Serengetti zrealizowała do tej pory.

Teraz jednak jej myśli koncentrowały się bardziej na osobie Cole'a, niż na czekającym ją zadaniu. W wyobraźni odtwarzała sposób, w jaki Cole zwracał się do niej i jak na nią spoglądał podczas niedawnej narady. A także ostatnią rozmowę w jego gabinecie, szczególnie uwagę o tym, że wolałby, aby ich stosunki ułożyły się inaczej.

Była mu oczywiście wdzięczna za wyrażenie zgody na uczestnictwo w zbiórce. A jednocześnie bała się uczuć, jakie w niej budził.

Przywołała się do rzeczywistości, podała recepcjonistce swoje nazwisko, a ta z promiennym uśmiechem wskazała jej drogę do gabinetu szefa.

- Witaj, Mariso - powiedział Cole, wstając.

Jego dominująca postać kolejny raz sprawiła, że zaszumiało jej w głowie, a puls przyspieszył.

On tymczasem wyszedł zza biurka i ruszył w jej kierunku, mierząc ją wzrokiem. Odniosła wrażenie, że jego spojrzenie zatrzymało się na moment na wycięciu bluzki.

- Powiedz mi, jak oceniasz nasze spotkanie z panem Dobsonem - zapytał bez wstępu.

Powinna zwrócić mu uwagę, że nie było to „ich” spotkanie z Dobsonem, lecz spotkanie Dobsona i zarządu szkoły z nim, ale tego nie zrobiła. Rzekła tylko:

- Bardzo dobrze.

Cole skinął głową.

- Dobson prosił, żebym ci pokazał nasze wcześniejsze projekty sportowych obiektów.

- Tak. Czy macie plany zbudowanych przez firmę sal gimnastycznych?

- Kilka się znajdzie - odparł, podchodząc do drzwi. - Możesz zostawić u mnie swoje rzeczy. Wrócimy tu za kilka minut.

Marisa powiesiła żakiet i torebkę na oparciu krzesła, a Cole poprowadził ją korytarzem na zaplecze biura do staroświeckich drzwi.

- Mamy tu zakątki, do których nie dotarła nowoczesność - zauważył z uśmiechem, sięgając do kieszeni po klucze.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Oczom Marisy ukazało się małe pomieszczenie zastawione dwoma rzędami metalowych szaf. Dzieliło je wąskie przejście długości góra trzech metrów.

- Zapraszam - powiedział z lekko rozbawioną miną.

Marisa niechętnie przekroczyła próg i zaczęła się rozglądać po ciasnym wnętrzu, by nie patrzeć na Cole'a.

- Jak się rozeznajesz w takiej masie dokumentów? - zapytała, byle coś powiedzieć.

W tym momencie rozległo się kliknięcie zamykających się za jej plecami drzwi.

- Wyjdę i poczekam, aż znajdziesz to, czego potrzebujemy - powiedziała szybko, starając się opanować panikę.

Nacisnęła klamkę i szarpnęła drzwi, one jednak nie ustąpiły. Spróbowała ponownie, z tym samym skutkiem.

- To nic nie da, drzwi zatrzęsnęły się na amen. Można je otworzyć tylko od zewnątrz - najspokojniej w świecie oświadczył Cole.

- Ale sam mi powiedziałaś, żebym weszła do środka.

- Boisz się ciasnych pomieszczeń? - spytał zaczepnym tonem.

- To nie jest śmieszne. - Owszem, bała się, ale najbardziej bycia sam na sam z Cole'em. - Mam lekką klaustrofobię - przyznała.

- Wołanie o pomoc niewiele pomoże, ale możesz przecież skorzystać z komórki. - Cole zdawał się nie przejmować sytuacją. Miała wrażenie, że wręcz go ona bawi.

- Została w torebce w twoim gabinecie. A twoja?

- Jak wyżej, na biurku.

Walcząc z narastającą paniką, zadała pierwsze lepsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy:

- Czy od początku, jako zawodowy hokeista, brałeś pod uwa-

gę przejęcie w przyszłości rodzinnej firmy?

- Nie. Ale byłem do tego dobrze przygotowany. Od młodości pracowałem na budowach, a w Boston College odbyłem gruntowne studia menedżerskie.

- Bo ojciec zawsze widział w tobie następcę.

- Owszem, choć nigdy mu tego nie obiecywałem.

- A potem przyszła kontuzja i położyła kres karierze.

Popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- Śmiało sobie poczynasz jak na kobietę, która unika niewygodnych tematów.

- Jakich niewygodnych tematów?

- Na przykład spraw z własnej przeszłości.

- Co masz na myśli?

- Nas.

- Nie każdy był szczęściarzem i mógł w razie wypadki liczyć na pracę w rodzinnym przedsiębiorstwie.

- O nie, nie wykręcisz się sianem - gwałtownie zareagował Cole. - Dlaczego poleciałas do dyrektora, żeby na mnie naskarżyć? Dlatego, że pochodziłem z zamożnej rodziny?

- Cole, proszę cię...

Kiedy Marisa i Cole byli w ostatniej klasie, na zgromadzeniu szkoły uchwalono akcję pod tytułem „Pershingowcy w służbie ludzi”. W jej ramach przygotowano wystawę ilustrującą działania na rzecz lokalnej wspólnoty. Jednakże Cole ośmieszył całą akcję, wstawiając zdjęcia dyrektora Hayesa w miejsce głowy mistrza zapasów oraz opartego o limuzynę boksera ubranego jedynie w krótkie spodenki i skarpetki.

Wszyscy świetnie się bawili. Z wyjątkiem ówczesnego dyrektora szkoły pana Hayesa, który nie odznaczał się poczuciem humoru.

- A może dlatego, że po tym, jak się kochaliśmy, nie obsypałem cię czułymi słówkami? - spytał, podchodząc bliżej.

Marisa gwałtownie pokręciła głową.

- To nie miało nic wspólnego z seksem. To znaczy moja rozmowa z panem Hayesem. Byłeś bliżej prawdy, wspominając o pieniądzach swoich rodziców.

Twarz mu stężała.

- Dyrektor sam wezwał mnie do gabinetu. Podejrzewał, że uczniowie ostatniej klasy muszą się orientować, kto był sprawcą tego nieszczęsnego figla - ciągnęła Marisa, starając się opanować drżenie głosu. - I wybrał mnie, bo wiedział, w jaki sposób może mnie zmusić do mówienia.

Cole skrzywił się pogardliwie.

- Swoim wygłupem ośmieszylesz go przed całą szkołą. Czuł się upokorzony i chciał za wszelką cenę dojść prawdy. Zagroził, że jeśli nie podam mu nazwiska winowajcy, cofnie poparcie mojego podania o stypendium na studia.

Podczas tamtej fatalnej rozmowy Marisa zdawała sobie sprawę, że posada Hayesa wisi na włosku. Pracując w szkole po lekcjach jako sprzątaczką, usłyszała, jak nauczyciele mówili, że rząd nie jest z niego zadowolony i może nie przedłużyć z nim umowy.

Wygłup Cole'a, zwłaszcza gdyby nie został wyjaśniony, mógłby posłużyć jako dodatkowy argument, że nie radzi sobie z prowadzeniem szkoły.

Patrząc na znękaną minę dyrektora, Marisa odgadła jego myśli. Zdawała sobie sprawę, że pan Hayes ma na utrzymaniu żonę i troje dzieci. Postawiła się w jego położeniu; znała strach własnej matki przed utratą posady.

Z twarzy Cale'a zniknął grymas niesmaku.

- Czułam się zapędzona w koziego róg - mówiła dalej Marisa. - Cała moja przyszłość zależała od stypendium.

Na twarzy Cole'a odmalowało się oburzenie.

- Trzeba nie mieć sumienia, żeby w ten sposób szantażować podległą mu osiemnastolatkę.

- W sumie miałeś od początku rację. To ja doniosłam na ciebie do dyrektora. I jestem ci winna przeprosiny. - Mówiła coraz wolniej, jakby stopniowo opuszczały ją siły. - Jedyne, co mogę powiedzieć na swoją obronę, to że gdybym wtedy straciła stypendium, zapewne podzieliłabym los mojej ciężko pracującej, źle opłacanej matki.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Hayes cię zaszantażował?

- A byłbyś gotów mnie wysłuchać? W tamtym czasie najważniejsze były dla ciebie mistrzostwa szkolnej ligi. Moje tłumacze-

nia niczego by nie zmieniły. Liczyło się tylko to, że zostałeś wykluczony z drużyny.

W pamięci Marisy odżyły bolesne wspomnienia. Ostracyzm, jaki ją spotkał ze strony kolegów Cole'a, którzy domyślali się, że to ona zdradziła Cole'a, jego wyraźna wrogość, a na koniec wiadomość, że na swoją partnerkę na balu maturalnym wybrał Kendrę Vance. Marisa została w domu i przez cały wieczór oglądała stare filmy, zżerana wyrzutami sumienia.

- Jak się stąd wydostaniemy? - spytała głównie po to, by odepchnąć złe wspomnienia.

Mówiąc to, pomachała rękami w kierunku drzwi, lecz w tej samej chwili Cole unieruchomił jej dłonie. W jego oczach zapaliły się niepokojące iskry.

- Teraz powinnaś naprawdę zacząć wzywać pomocy - oświadczył.

- Bo inaczej się nie wydostaniemy?

- Nie, mam inny pomysł.

Chwycił ją w ramiona, przyciągnął do siebie i pocałował w usta z taką pewnością siebie, że ciarki przeszły jej po plecach. Napierał na nią całym ciałem, wprawiając ją w drżenie.

Całował jej wargi, aż zwilgotniały i otworzyły się, a on pogłębił pocałunek, wsuwając język do jej ust. Nie zastanawiając się, co robi, z cichym jękiem rozkoszy odwzajemniła pocałunek.

Nadal go pragnęła. Dawna miłość odezwała się z całą mocą. Czowała się bezbronna, obezwładniona.

Cole z wolna oderwał się od jej ust i cofnął.

- No i udało się.

- C...co? - spytała.

- Zapomniałaś o klaustrofobii.

Niezupełnie. Wprawdzie zapomniała o zamkniętych drzwiach, ale nie o tym, że jest zamknięta sam na sam z nim w ciasnym pomieszczeniu.

- Jak możesz całować kobietę, do której czujesz niechęć?

- Potrzebowałaś tego.

Minął ją i podszedł do drzwi. Nacisnąwszy klamkę, z całej siły naparł na drzwi, aż wreszcie puściły.

Wskazując ręką korytarz, powiedział z uśmiechem:

- Damy przodem.

Marisa odetchnęła.

- Wiedziałaś, że wcale się nie zatrzasnęły?

- Domyśliłem się, że wypaczyły się ze starości i dlatego trudno je otworzyć. Sama byś do tego doszła, gdybyś pod wpływem paniki nie zaczęła paplać.

Co mu naopowiadała? Do czego się przyznała? I na domiar wszystkiego rozpląnęła się w jego ramionach. Miała wrażenie, że spali się ze wstydu.

- Muszę już iść. Umówimy się na kiedy indziej.

- Marisa...

Odwróciła się na pięcie i pobiegła do jego gabinetu. Tam chwyciła torbę i żakiet, pognąła do windy i już po paru minutach uruchamiała samochód.

Może w lodówce znajdzie kawałek czekoladowego ciasta na pocieszenie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W oczekiwaniu na majstra, z którym miał omówić dalszy przebieg robót, Cole lustrował wzrokiem budowę biurowca na przedmieściach Northampton. Jednakże jego myśli krążyły wokół Marisy Danieli.

- Sam zaraz do pana zejdzie! - zawołał jeden z robotników.

Cole odpowiedział mu skinieniem głowy, ale jego myśli nadal wędrowały własnymi drogami.

Po tym, jak Marisa uciekła z jego biura, zadzwonił do dyrektora szkoły i wziął na siebie winę za niepowodzenie ich spotkania. Tyle przynajmniej musiał dla niej zrobić, odkąd mu wyznała, co się naprawdę wydarzyło piętnaście lat temu.

Nie tylko zrozumiał, przed jakim wyborem została wówczas postawiona, ale musiał przyznać, że trafnie określiła ówczesną postawę jego samego. Jako zapatrzony w siebie i swoją karierę sportową żółtodziób z pewnością nie byłby skłonny słuchać jej usprawiedliwień.

Natomiast Marisa już jako osiemnastolatka wyróżniała się wśród kolegów i koleżanek dojrzałością i rozwagą. I właśnie ta jej odmienność sprawiła, że stracił dla niej głowę. Nie zdawał sobie jednak sprawy, czym okupiła swoją wczesną dojrzałość.

Myliła się natomiast co do jednej sprawy. Nawet w tamtym czasie liczyły się dla niego nie tylko hokejowe mistrzostwa. Ona była nie mniej ważna... dopóki nie poczuł się zdradzony.

Kiedy parę dni temu, w biurowym archiwum, popatrzyła na niego tymi swoimi szeroko otwartymi oczami, zrozumiał, że nadal nie jest jej obojętny. A potem, po jej wstrząsającym wyznaniu, chwycił ją w ramiona i pocałował. Na wspomnienie tamtej chwili puls mu przyspieszył. Musi się z nią jak najszybciej zobaczyć.

Wyjął z kieszeni komórkę i wysłał do Marisy wiadomość: „Powiedziałem Dobsonowi, że przerwałem nasze spotkanie, bo

miałem inne pilne sprawy. Spotkajmy się w piątek, kolacja o 18-ej”.

Wysłanie wiadomości poprawiło mu humor. Na widok zbliżającego się majstra schował komórkę do kieszeni i zsunął kask na tył głowy. Pamiętał jednak, że po naradzie z majstrem czeka go od dawna odkładana, trudna rozmowa.

Prosto z budowy pojechał do rezydencji rodziców i, zgodnie z tym, co ustalili z matką przez telefon, udał się do ogrodu.

Serg Serenghetti siedział w żelaznym ogrodowym fotelu otulony przez troskliwą żonę pledami, jakby udawał się na Alaskę. Cole usiadł w wolnym fotelu i przez kilka minut prowadził niezobowiązującą pogawędkę. Widział jednak, iż ojciec jest zdenerwowany i słucha jednym uchem, jakby się domyślał, że syn zjawiał się w innym, określonym celu. I tak istotnie było.

- Zamierzam sprzedać firmę i rozglądam się za potencjalnym nabywcą - wypalił, gdy wszyscy umilkli.

Serg uderzył pięścią w stół.

- Po moim trupie!

- Jesteśmy przedsiębiorstwem średniej wielkości - odparł Cole, starając się zachować spokój. - Byłoby najkorzystniej, gdyby ją wykupił któryś z potężnych graczy.

A on mógłby ułożyć sobie życie po swojemu. Nie miał jeszcze konkretnych planów, ale wiedział o kilku hokejowych drużynach poszukujących trenera.

- Nigdy się na to nie zgodzę.

- Niepotrzebnie się denerwujesz, tato, może ci to tylko zaszkodzić. - Cole czuł się zawiedziony. Liczył mimo wszystko, że uda się przeprowadzić z ojcem rzeczową rozmowę. Zdawał sobie sprawę, że Serg nigdy nie odzyska pełni sił. A jeżeli jemu nie uda się doprowadzić do sprzedaży rodzinnej firmy, utknie w niej na amen.

- Wiesz, co najbardziej może mi zaszkodzić? Twoje gadanie o sprzedawaniu Serenghetti Construction.

- Tato, bądź rozsądny. - Cole starał się nie okazywać frustracji. Stan ojca nie poprawi się na tyle, aby mógł na nowo pokierować firmą, najwyżej pozwoli mu na cieszenie się życiem emeryta.

Wszyscy muszą stawić czoło nieubłaganej rzeczywistości.

- Dlaczego uważasz, że firma nadaje się tylko na sprzedaż? - spytał Serg nieco spokojniejszym tonem.

- Musi się rozwinąć, bo inaczej zginie.

- A ty nie jesteś zainteresowany rozwijaniem rodzinnego interesu.

Cole uznał, że milczenie będzie najlepszą odpowiedzią.

- Albo się rozwinie, albo zginie! - oratorskim tonem zawołał Serg, jakby miał przed sobą widownię. - Przedsiębiorstwo, dzięki któremu zdobyłeś najlepsze wykształcenie i wyszkoliłeś się na pierwszorzędnego hokeistę!

- To prawda, ale czasy się zmieniają i Serengetti Construction nie może dłużej funkcjonować tak jak dotychczas.

Ojciec poruszył się gwałtownie w fotelu, o mało nie strącając łaski.

- No i co wolałbyś robić, zamiast reformować firmę? Trenować hokeistów?

Cole nie był zdziwiony domyślnością ojca, chociaż nic mu na ten temat nie mówił. Zbyt dobrze się znali.

Po chwili namysłu Serg ciągnął, marszcząc brwi:

- Tryb życia trenera trudno pogodzić z życiem rodzinnym. Chyba że zamierzasz także pod tym względem wyrzec się dziedzictwa i twoje plany życiowe nie obejmują posiadania żony i dzieci.

- Posiadania żony i dzieci nie nazwałbym częścią mojego dziedzictwa, tato. - W jego mniemaniu była to raczej kwestia wyboru stylu życia.

- Nigdy się nie dogadamy! Co w ciebie wstąpiło?

- Serg, nie denerwuj się! - poprosiła Camilla Serengetti, coraz bardziej zaniepokojona przebiegiem rozmowy. - Pamiętaj, co ci mówił *dottore*.

Matka zawsze pośredniczyła w sporach między mężem a synami. Co więcej, Cole podejrzewał, że znalazłby u niej więcej zrozumienia dla swoich planów niż u ojca. Sama dopiero niedawno spełniła swoje marzenia, jako gospodyni kulinarnego programu lokalnej telewizji.

- Moi synowie doprowadzą mnie do ruiny - sapnął Serg.

- Nie martw się, zawsze możesz liczyć na mnie - z żartobliwym uśmiechem zapewniła go Camilla.

- No i proszę, role się odwróciły - mruknął Cole.

- Jakie role? Co to znowu za zagadki?

- Teraz mama robi karierę i dla odmiany jest gotowa wziąć tatę na swoje utrzymanie.

- Zawsze byłeś przemądrzały! Jeszcze bardziej niż twoi bracia - wybурczał starszy pan.

- No, na mnie pora - oznajmił Cole, wstając. - Mam dzisiaj jeszcze parę spraw do załatwienia. A ty, tato, odpoczywaj i słuchaj mamy.

- Odpoczywaj, odpoczywaj, wszyscy każą mi tylko odpoczywać - gniewnie powtórzył Serg.

- Cześć, mamo.

- Witaj, kochanie! - z radością wykrzyknęła Donna Casale, otwierając drzwi jeszcze szerzej.

Marisa widziała w matce starszą wersję samej siebie. Pod tym względem jej przyszłość rysowała się całkiem przyjemnie. Pani Casale nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt cztery lata, zachowała smukłą figurę, a jej twarz promieniała szczęściem. Nadal przyciągała męskie spojrzenia, niedawno zaś wyszła za mąż za człowieka, który ją uwielbiał.

W porównaniu z nią, myślała Marisa, tonąc w matczynych objęciach, moja sytuacja życiowa wygląda po prostu żałośnie.

Wraz z odejściem Sala rozwiały się jej marzenia o małym domku na przedmieściach i gromadce dzieci.

- Chodź, kochanie, tak się cieszę, że przyszłaś - powiedział Donna, wypuszczając córkę z objęć i kierując się do kuchni.

- Ja też się cieszę.

- Dobrze, że przyszłaś trochę wcześniej, pomożesz mi przygotować lasagne. Ted powinien być niebawem w domu.

Marisa odłożyła swoje rzeczy na kuchenne krzesło i przyjrzała się ślubnemu zdjęciu matki i Teda. Są na nim tacy szczęśliwi, pomyślała, tłumiąc westchnienie.

Cieszyła się szczęściem matki, ale... w wyobraźni zobaczyła obraz Cole'a.

Co jej chodzi po głowie? Wspomnienie pocałunku w ciasnym archiwum i to, co wówczas poczuła, wracało do niej dniami i nocami. I to, co mu wyznała... wszystko to razem w niepokojący sposób kłębiło się w jej myślach.

- Masz jakieś zmartwienie? - spytała matka, spoglądając na Marisę spod zmarszczonych brwi.

- Nie, mam - odparła z uśmiechem. Najlepiej zmienić temat.
- Serafina znalazła sobie mieszkanie i wkrótce się wyprowadza. Będę sama.

- Powinnaś wyjść za mąż.

- Przecież wiesz, że byłam zaręczona, ale moje narzeczeństwo się rozpadło.

- Raz źle wybrałaś, ale na pewno znajdziesz kogoś odpowiedniego.

Marisa oczami duszy znowu ujrzała Cole'a. Nie myśl o nim, upomniała się. Cole to przeszłość.

- Wiem, mam, że od ślubu masz skłonność do patrzenia na świat przez różowe okulary, ale...

- Jak możesz tak mówić? - przerwała jej matka. - Jestem szczęśliwa w małżeństwie, to prawda, ale jeszcze nie zapomniałam tamtych lat walki o przetrwanie.

- Wiem, mam - uspokajającym tonem odparła Marisa.

- Nadal czuję się z tego powodu winna.

- Dlaczego?

- Nie dość cię chroniałam. Nie umiałam ci zapewnić beztrudnego dzieciństwa.

- Robiłaś wszystko, co możliwe. Czułam się kochana, skończyłam dobrą szkołę, poszłam na studia, znalazłam świetną pracę.

- Ale powinnaś mieć kogoś, na kim mogłabyś się oprzeć. Nie będę żyć wiecznie.

- Mam! Masz dopiero pięćdziesiąt cztery lata!

Marisa podeszła do zlewu i umyła ręce.

- Co u ciebie w szkole? - zagadnęła Donna. - Dzieciaki nie za bardzo dają ci się we znaki?

To nie dzieciaki dawały jej się we znaki, tylko uczucia, jakie w niej budził pewien przystojny były hokeista.

- Powierzono mi organizację wielkiej gali, która ma się odbyć

w maju w Pershingu.

- No i jak ci idzie?

- Nieźle. Cole Serengetti, dawna gwiazda hokeja, zgodził się poprowadzić zbiórkę pieniędzy.

- Znakomicie. Cieszy się w mieście dużą popularnością.

Mnie to mówisz.

- Cole nie jest już zawodowym hokeistą. Po kontuzji musiał się wycofać z drużyny.

- Owszem, słyszałam.

- Obecnie kieruje firmą budowlaną, odkąd jego ojciec doznał udaru mózgu.

Donna obrzuciła córkę uważnym spojrzeniem.

- Sporo o nim wiesz.

- Nie martw się, mam - odparła Marisa, układając kolejną warstwę lasagne. - O Salu też sporo wiedziałam, zanim puścił mnie kantem. Wyciągnęłam z tego naukę. Ale powiedz mi, co u ciebie w pracy. Wymyśliłaś jakąś nową reklamę?

- Tak, dla działu obuwia: „Rzuć faceta, kup sobie nowe buty!”.

Obie się roześmiały. W tej samej chwili w torbie Marisy zabręczał telefon. Wytarłszy ręce w fartuch, wyjęła komórkę. To, co przeczytała na monitorze, przyprawiło ją o gwałtowne bicie serca.

Wiadomość brzmiała: „Powiedziałem Dobsonowi, że przerwałem nasze spotkanie, bo miałem inne pilne sprawy. Spotkajmy się w piątek, kolacja o 18-ej”.

- Jakieś kłopoty? - zaniepokoiła się Donna, kiedy Marisa odłożyła komórkę.

- Diabeł nie śpi. Ale nie, to nie Sal. Inny czort, Cole Serengetti.

- Tak dobrze się znacie, że wysyła ci esemesy?

- Ten był pierwszy. Ale to ja pytałam go wcześniej o sprawy związane ze zbiórką pieniędzy na salę gimnastyczną dla szkoły.

- Wolala nie wspominać matce o swoich wizytach w jego biurze, nie mówiąc o incydencie w archiwum.

- No i co?

- Zaprosił mnie na kolację. Oczywiście w sprawach służbo-

wych.

Była Cole'owi wdzięczna za to, że wziął na siebie winę za fiasco ich spotkania. Niemniej nie miała pojęcia, dlaczego zaprosił ją na kolację. Zapewniła matkę, że chodzi o spotkanie czysto służbowe. I powinna trzymać się tej wersji, niezależnie od tego, co się między nimi wydarzyło w archiwum.

Donna nadal mierzyła córkę uważnym wzrokiem.

- Uważaj, córeczko. Wiem, jakie wrażenie robią na kobietach słynni sportowcy.

Marisa wiedziała, kogo matka ma na myśli. Z tą różnicą, że tamten słynny sportowiec był baseballistą.

- Naprawdę chodzi o interesy. Uwierz mi, mamo.

Zdając sobie sprawę, że sama nie do końca wierzy własnym zapewnieniom, Marisa postarała się przybrać jak najszczerzy wyraz twarzy.

- No dobrze - mruknęła Donna, chyba nie do końca przekonana. - Skończmy przygotowywać kolację, to otworzę butelkę wina.

- Cole, co to ma być?

- Jak to co? Kolacja. - Popatrzył ze zdziwieniem na siedzącą obok niego kobietę, której obraz od wielu dni i nocy nie dawał mu spokoju. Zamówił stolik w najelegantszej restauracji w Welsdale przy Creek Road.

Chciał po nią pojechać, lecz Marisa oświadczyła, że spotkają się na miejscu, a on nie zaprotestował.

- Pytam o podtekst.

Udał, że nie rozumie.

- To dla mnie za mądre słowo. Ty byłaś prymuską z angielskiego.

- A ty siedziałeś w ostatnim rzędzie i błaznowałeś.

- Nie przepadałem za Charlottą Brontë.

- Jak to? Przecież była kobietą.

- To mi się podoba. Jak chcesz, potrafisz się odciąć.

- Jestem nauczycielką. Bez tego bym nie przetrwała.

- Myślę, że nie wiesz, jak bardzo mi się podobałaś.

- Niemożliwe.

- Jesteś gotowa pogadać o tym, co się wydarzyło w archiwum?

Osoba patrząca z zewnątrz mogłaby ich wziąć za parę zakochanych na romantycznej randce.

- Czy to nie oczywiste? Najwyraźniej jesteście skazani na bliskie spotkania w ciasnych wnętrzach.

Cole'owi spodobała się jej odwaga i poczucie humoru.

- Zaczę od początku. Zastanawiałem się, co we mnie zobaczyłaś piętnaście lat temu. Byłem błaznem i głuptasem.

Marisa wyraźnie się rozpromieniła.

- To proste - odparła. - Podziwiałam cię. Za to, że nie bałeś się ryzykować. Nie tylko na lodowisku. Ja byłam potulna, a ty byłeś śmiały i pewny siebie. Ja trzymałam się na uboczu, a ciebie wszędzie było pełno i wszyscy chcieli być tacy jak ty.

- I co mi z tego przyszło? W końcu wszystko zawałam, wykluczili mnie z drużyny i zawiesili w prawach ucznia - podsumował gorzko. Było to z jego strony jednoznaczne przyznanie się do winy.

- Znasz to powiedzenie: Lepiej grzeszyć i żałować, niż żałować, że się nie grzeszyło - odrzekła z lekkim uśmiechem.

- A ty nigdy nie podjęłaś żadnej ryzykownej decyzji?

- Owszem, raz. Kiedy postanowiłam cię namówić na wzięcie udziału w szkolnej gali.

Zanim zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich kelner, by przyjąć zamówienie. Kiedy Marisa wybrała sałatę, Cole stanowczo zaprotestował.

- To grzech w tak znakomitej restauracji zamawiać sałatę.

- Dlaczego? Jestem pewna, że wszystko tutaj jest równie pyszne.

Po odejściu kelnera przeszli na mniej osobiste tematy, Cole jednak czekał, by wrócić do poprzedniego wątku.

- Mój szkolny upadek pewnie dał ci odrobinę satysfakcji, kiedy po tym, jak się kochaliśmy, zacząłem cię unikać.

- To było bolesne - przyznała. - Ale byliśmy oboje za młodzi, żeby sobie z tym wszystkim poradzić. - Sięgnęła po kieliszek. Po chwili spytała: - Musiałeś być niemile zdziwiony, kiedy nauczyciel kazał ci razem ze mną przygotować prezentację z eko-

nomii.

- Raczej zaciekawiony. Byłaś niewiadomą.

- Czyli nikim. Zwłaszcza wśród sportowców.

- W pewnym sensie masz rację. Ale szybko odkryłem, że jest coś cenniejszego niż rojenia nastoletnich chłopców.

- Naprawdę? - Z jej oczu, gdy na niego spojrzała, biło tak szczere zdziwienie, że miał nieodpartą ochotę natychmiast ją pocałować.

- Na początku byłem bardziej znudzony perspektywą studiowania ekonomii, niż zaintrygowany twoją osobą. Ale szybko odkryłem, że jesteś miła, inteligentna i interesująca. No i hormony zagrały.

- Mnie spodobałeś się jeszcze wcześniej - wyznała. - A potem całkiem straciłam głowę.

- Nigdy nie zapomnę tamtej kanapy na zapleczu sali teatralnej - dorzucił Cole.

Jako stypendystka Marisa dorabiała, pomagając przy sprzątanii szkoły, i z tego tytułu dysponowała pełnym zestawem kluczy.

- Stoi nadal w tym samym miejscu.

Cole podniósł brwi.

- W takim razie musisz mnie przy najbliższej okazji oprowadzić po szkolnych zakamarkach.

A gdy nie odpowiedziała na jego prowokację, podjął:

- Kiedy się okazało, że byłaś dziewczyną, nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Był to zbyt wielki ciężar dla osiemnastoletniego głuptasa. Wybrałem najprostsze rozwiązanie i zacząłem cię unikać.

- Pamiętam - odparła sucho.

- Ale dzisiaj nie jestem już pustogłowym szkolnym hokeistą. Zostałem szefem firmy budowlanej, a w Pershingu uznano mnie za rycerza w lśniącej zbroi.

Dalszą wymianę zdań przerwało nadejście kelnera z zamówionymi potrawami. Marisa zajęła się swoją sałatą, a Cole znakomitym filetem mignon.

Po paru minutach sięgnęła po kieliszek i upiła łyk wina.

- Powiedziałaś, że czujesz się rycerzem w lśniącej zbroi. Otóż

przyszło mi do głowy, że mógłbyś zabłysnąć w jeszcze inny sposób.

Rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Mam uczniów, którzy byliby uszczęśliwieni, gdyby mogli zwiedzić stadion twojej dawnej drużyny.

Cole wyprostował się w krześle i pokręcił głową.

- Stawiasz coraz to nowe żądania.

- Nie mam nic do stracenia.

- Nic za darmo.

- Wiem. Za poprzednie ustępstwo zażądałeś umowy na budowę.

Cole skinął głową. Od pamiętnego wydarzenia w biurowym archiwum nie przestawał myśleć o tym, by znowu ująć jej twarz w dłoń, zanurzyć palce w jej włosy i zobaczyć, jak by wyglądały rozsypane na poduszce.

- No więc czego oczekiwałbyś tym razem? - spytała.

- Odpowiedzi na pytanie.

- Zależy jakie.

- Już mówię. Dlaczego wybrałaś Sala? Jest tylu innych na pozór solidnych i bezbarwnych facetów.

Marisa wzięła głęboki oddech.

- Trafił w odpowiedni moment.

- To znaczy?

- Poznałam go zaraz po tym, jak moja matka wyszła za mąż.

- A ty poczułaś się osamotniona?

Marisę zdumiała jego domyślność. Nie spodziewała się po Cole'u takiej wrażliwości. On sam chyba też był nią zaskoczony.

- Tak. A poza tym chciałam, żeby matka była spokojna o mój los.

- I akurat trafił się Sal.

- Jeśli chce, potrafi być naprawdę czarujący.

- Jak każdy handlarz używanymi samochodami - burknął Cole.

- Odpowiadał moim wyobrażeniom o dobrym mężu.

- Aha! A jak go sobie wyobrażałaś?

- Chciałam, żeby jak najmniej przypominał mojego ojca.

- Znałaś go? - zdziwił się Cole.

Pamiętał, że w czasach szkolnych Marisa nie mówiła o ojcu, raz tylko wspomniała, że od dawna nie żyje.

- Nie. Zginął w wypadku samochodowym, zanim się urodziłam. Długo myślałam, że rodzice po prostu nie zdążyli się pobrać. Dopiero po skończeniu osiemnastu lat dowiedziałam się od matki, że porzucił ją znacznie wcześniej.

- A kim on był, jeśli wolno zapytać?

- Baseballistą, grał w drugorzędnej lidze, ale miał wielkie ambicje i wielki apetyt na życie. Ani mu było w głowie obarczać się żoną i dzieckiem.

Cole nagle zrozumiał. Marisa uwierzyła, że Sal jej nie opuści. Nie był zawodowym sportowcem, dla którego kariera stoi zawsze na pierwszym miejscu. W przeciwieństwie do jej ojca... i jego samego. Jeśli nawet nie sprawiły tego szkolne przeżycia, to późniejsze odkrycie prawdy o ojcu musiało ją ostatecznie zniechęcić do związków ze sportowcami.

W trakcie dalszej rozmowy na inne tematy Cole doszedł do przekonania, że jakkolwiek piętnaście lat temu Marisa była gotowa oddać mu serce, to obecnie szuka mężczyzny całkiem innego typu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nigdy dotąd nie była na stadionie hokejowym Razorsów z Nowej Anglii, który mieścił się na obrzeżu Springfield w Massachusetts, blisko granicy ze stanem Connecticut.

Nie zaliczała się do kibiców hokeja. Głównie dlatego, że oglądanie meczów na żywo przywoływałoby bolesne wspomnienia.

Jednak w obecnej chwili miała przed oczami imponującą postać Cole'a Serenghettiego przemawiającego do gromadki uczniów Pershinga.

Marisa chłonęła każdy jego gest, starając się bezskutecznie odepchnąć od siebie świadomość, jak silnie jego fizyczność działa na jej zmysły.

- Uwaga, dzieciaki! - powiedział Cole do otaczających go uczniów. - Proponuję, żebyśmy na początek zwiedzili stadion i jego zaplecze, a potem wypróbowali lodowisko. Co wy na to?

Jedni odpowiedzieli uśmiechem, inni skinieniem głowy.

- Ilu z was chciałoby zawodowo uprawiać hokej?

Podniosło się kilka rąk. Wśród chętnych Marisa odnotowała z zadowoleniem parę dziewcząt.

- Czy kontuzja wciąż panu dokucza? - zapytał nieoczekiwanie jeden z chłopców.

- Jest rzeczą bardzo ważną, aby zawsze nosić ochraniacze. Kontuzje należą do rzadkości, przynajmniej te poważniejsze.

Uczniowie milczeli. Najwyraźniej czekali na ciąg dalszy.

- W moim przypadku kontuzja nogi wymagała operacji. Mogę swobodnie chodzić, ale o dalszej grze nie było mowy - wyjaśnił Cole spokojnym tonem. - Zresztą przekroczyłem już trzydziestkę, miałem za sobą kilka bardzo udanych sezonów i czekały mnie inne zadania.

- Czyli zajął się pan wyłącznie budownictwem, czy tak? - piskliwym głosem spytał inny uczeń.

- Uhm. Co polega na tym, że spędzam więcej czasu w biurze

niż na budowie – odparł z uśmiechem. A spoglądając na Marisę, dorzucił: – I poszerzam swoje interesy.

Marisa lekko się zarumieniła. Przed paroma dniami spędziła w jego biurze godzinę na przeglądaniu dawnych projektów firmy Serengetti Construction. Tym razem obyło się bez wizyty w archiwum, gdyż plany obiektów sportowych czekały na nią w gabinecie. Miała wprawdzie parokrotnie wrażenie, że Cole chciałby nawiązać do tamtego zdarzenia, lecz na szczęście w ostatniej chwili ktoś dzwonił albo wpadał do gabinetu w pilnej sprawie.

– Chcę wam dzisiaj przedstawić kilka mniej znanych dróg kariery związanych z profesjonalnym hokejem – podjął Cole. – Aktywnych graczy oglądamy podczas meczów. Ich nazwiska są powszechnie znane. Ale na rzecz drużyny pracują niewidoczne zespoły ludzi, dzięki którym profesjonalny hokej może funkcjonować.

– Na przykład, jakie?

– Obejrzymy kabiny transmisyjne, na wypadek gdyby niektórzy z was myśleli o karierze sprawozdawców sportowych. Zwiedzimy biura, aby pogadać ze specami od marketingu. A potem zajrzemy do szatni, w których swoją robotę wykonują lekarze medycyny sportowej. Pasuje?

Dzieciaki przytaknęły chórem.

Stojąca na uboczu Marisa nie mogła się nadziwić łatwości, z jaką Cole nawiązał kontakt z nastolatkami.

– Jeżeli dobrze się spisiecie – powiedział na koniec – być może czeka was spotkanie z Jordanem Serengettim, wielką gwiazdą Razorsów, a prywatnie moim mniej ważnym młodszym bratem.

Uczniowie odpowiedzieli śmiechem i wiwatami.

Po odwiedzeniu wszystkich wymienionych przez Cole’a pomieszczeń przyszła kolej na wypróbowanie ślizgawki.

Marisa też się przebrała i zasznurowała buty, ale z wyjazdem na lodowisko chwilę zwlekała. Dawno nie próbowała swoich umiejętności łyżwiarskich.

– Nie wiedziałem, że jeździsz na łyżwach – zauważył Cole, podjeżdżając bliżej.

- Chodziłam na kurs łyżwiarstwa. Mieszkamy, jakby nie było, w Nowej Anglii. Tutaj wszyscy zakładają, że umiesz się poruszać po lodowisku - odparła.

Na dowód czego wykonała kilka obrotów na krawędziach łyżew.

- Widzę, że umiesz nie tylko utrzymać się na nogach. Gdzie się tego nauczyłaś?

- W ośrodku rekreacyjnym pod Welsdale. Kiedy byłam mała, uczyli nas za darmo.

- Znam ten ośrodek. Mój ojciec go zbudował.

- Mogłam się domyślić - roześmiała się Marisa.

Wykonała na próbę jeszcze parę trudniejszych elementów i okazało się, że w pełni zachowała dawne umiejętności.

- Więc dlaczego nie zostałam gwiazdą figurowego łyżwiarstwa, tylko świetną nauczycielką?

- Mojej mamy nie było na to stać. Żeby się wybić, trzeba mieć pieniądze. Na trenerów, kostiumy, podróże. W dodatku w szkole musiałam się skoncentrować na stopniach, żeby nie stracić stypendium.

- Mnie też matka zapisała na lekcje tańca na lodzie. Próbowaliśmy nas wychować na przykładnych dżentelmenów, ale nic z tego nie wyszło.

I wszyscy trzej synowie wyrosli na profesjonalnych rozrabiających, pomyślała Marisa, nie mogąc stłumić uśmiechu rozbawienia.

- Nie ma się z czego śmiać. Coś mi jednak z tamtych lekcji zostało - oświadczył, podjeżdżając do niej i obejmując ją w pasie.

- Co ty wyprawiasz? - zawołała, przestraszona tą nieoczekiwaną bliskością.

- Muszę ci coś udowodnić, ślicznotko. Mam nadzieję, że nie zapomniałaś tanecznych kroków.

Stanął naprzeciwko niej, objął ją i ruszył do tańca. Mocny uścisk jego silnych ramion wprawiał ją w takie zmieszanie, że nie śmiała podnieść oczu.

A gdy wreszcie zdecydowała się zerknąć na niego, poraziła ją jego intrygująca uroda. Gęste zmierzwiłone włosy aż prosiły, by zanurzyć w nich dłonie. Kwadratową szczękę pokrywał cień za-

rostu. Wargi były stanowcze, a zarazem zmysłowe. No i blizna... nadająca twarzy charakter, a jednocześnie budząca czułość. Niezwykle pociągające połączenie seksownych kontrastów. To wszystko nie jest dla ciebie, upomniała się w duchu, opuszczając powieki.

- Gotowa na wyrzucany skok?

- Zwariowałaś? - zaprotestowała, rzucając mu pełne przestachu spojrzenie.

On jednak nie zważał na jej protest. Chwytał Marisę w pasie i poderwał z lodowiska.

- Gotowa?

Poczuła, że unosi się w powietrzu. Rzut był niezbyt silny. Nie poleciała za wysoko ani za daleko. Wylądowała na prawej nodze, unosząc do tyłu lewą stopę.

- Brawo! Perfekcyjne lądowanie! Jestem pod wrażeniem.

- Nadal mnie widzisz na olimpiadzie? - zapytała ze śmiechem.

- Musiałabym się obandażować - dodała, wskazując swój okazały biust.

- To by był niedopuszczalny skandal.

Pojawienie się na lodowisku Jordana wywołało poruszenie wśród ślizgających się wokół uczniów. Nie było to odpowiednie miejsce ani pora na naładowaną erotyzmem konfrontację.

- Nie przejmuj się - szepnął Cole, odgadując jej myśli. - Nikt nie zwraca na nas uwagi.

- I to mówi szkolny rozrabiaka - odparła, pokrywając żartem nieprzewartą chęć znalezienia się znowu w jego ramionach.

- Gdybym był twoim uczniem, przykleiłbym sobie tyłek do ławki w pierwszym rzędzie. - Mówiąc to, pochylił się tak, że niemal dotykał wargami jej ust.

- Jak się postarasz, możesz zasłużyć nawet na szóstkę - brnęła Marisa, chociaż słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Nigdy nie zależało mi na stopniach. - Cole powoli się wyprostował.

Wolała nie pytać, na czym mu zależało. Pewnie na pocałunkach... i nie tylko. Problem w tym, iż czuła, że na przekór rozsądkowi może łatwo ulec pragnieniom, jakie budzi w niej Cole

Serenghetti.

Cole kolejny raz obrócił się na barowym stołku i popatrzył na drzwi.

Tym razem się nie zawiódł. Od drzwi zmierzała ku niemu Marisa. Miała na sobie dzinsy podkreślające kształty oraz opinający biust zielonkawy sweterek.

Cole poczuł pożądanie.

Jeszcze przed chwilą nie był pewien, jak Marisa zareaguje na wysłany do niej w ciągu dnia esemes: „Spotkajmy się w Puck & Shoot. Mam ci coś do powiedzenia”.

Od czasu szkolnej wycieczki na stadion Razorsów szukał pretekstu, by się z nią spotkać.

- Słyszałam, że obecnie to kobiety podrywają mężczyzn w barach - odezwała się Marisa, stając naprzeciwko niego.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Zacznijmy od drinka.

- Na co masz ochotę? - zapytał.

- Poproszę o piwo. - Trochę niepewnym wzrokiem rozejrzała się po barze. - Jestem pierwszy raz w Puck & Shoot.

- Sądziłem, że tu się dowiedziałas, jak mnie znokautować na ringu w hali Jimmy'ego.

- Nie nazwałabym tego nokautem. Jeśli dobrze pamiętam, utrzymałeś się do końca na nogach. A co do wiadomości, gdzie cię szukać, to dowiedziałam się o tym pośrednio, od mojej kuzynki Serafiny, która pracuje tutaj dorywczo i usłyszała rozmowę siedzących przy barze sportowców.

- Takich jak ci, którzy nie mogą odżałować, że zamiast do nich podeszłaś wprost do mnie? - spytał, wskazując ruchem głowy mężczyzn z drugiego końca baru.

- Przecież sam mnie tutaj zaprosiłeś.

- Ale oni o tym nie wiedzą - odparł z łobuzerskim uśmiechem, pożerając Marisę wzrokiem i odgarniając jej z czoła niesforny kosmyk włosów.

Śniła mu się znowu ubiegłej nocy i był to sen spełniający najdziwsze fantazje erotyczne.

Marisa zamarła z wrażenia, niczym królik uchwycony w świa-

tła reflektorów.

Cole odebrał od barmana piwo i podał je Marisie.

- Jakoś nie widzę tej twojej kuzynki Serafiny - mruknął.

- W środy ma wolne. Zresztą niedługo stąd odejdzie. Dostała znacznie lepszą pracę.

- Czy gdyby akurat miała dyżur, przyszedłabyś się ze mną spotkać?

- Może tak.

- A może nie.

Podobało mu się, że Marisa stara się zachowywać powściągliwie, jakby chciała ukryć przed wzrokiem ludzi ich erotyczne podniecenie. Które z pewnością odczuwa, ale woli się do tego nie przyznawać. Trzeba postępować bardzo ostrożnie, by jej nie wystraszyć.

- Dlaczego chciałeś się spotkać? - spytała.

Cole nie zamierzał się z nią dzielić swymi ukrytymi pragnieniami. Zamiast tego powiedział:

- Zauważyłem, że kilku twoich uczniów interesuje gra w hokeja i byłbym gotów udzielić im wskazówek.

Był to z jego strony pretekst, aby znowu się z nią zobaczyć.

Marisa zwlekała z odpowiedzią. Po chwili jej twarz przybrała zdecydowany wyraz.

- Dobrze, ale chcę, żebyś zrobił coś więcej. A mianowicie, żebyś poprowadził dla nich szkołkę hokeja.

A niech to! Najwyraźniej jej nie docenił.

- Szkołka hokeja to o wiele poważniejsze zadanie. Może nie zdajesz sobie sprawy...

- ...bo nigdy nie byłam kibicem sportu.

- Otóż prowadzenie takiej szkołki wymaga sporego wysiłku organizacyjnego, ustalenia planu treningów oraz zapewnienia miejsca, w którym miałyby się odbywać. Nie mówiąc już o nakładzie czasu.

- Czyli jest to wyzwanie na twoją miarę.

Głównym wyzwaniem, jakie sobie obecnie stawiał, było zważenie Marisy do łóżka. Po namyśle odparł:

- Na początek mógłbym poprowadzić kilka treningów dla małej grupy, a potem zobaczymy.

Marisa z zadowoleniem skinęła głową.

- Załatwione. A teraz porozmawiajmy o twoim przemówieniu na otwarciu zbiórki.

Ale z niej uparciuch! Zaraz da jej popalić.

- Najlepiej poszukaj w internecie i zapoznaj się z przemówieniami, jakie wygłaszałem przy różnych okazjach: do młodych adeptów z Bostonu o tym, jak ciężką pracą spełniać najśmielsze marzenia, moją opowieścią o zabawnych zdarzeniach z początków mojej kariery w...

- Byłoby dobrze, gdybyś powiedział parę pochlebnych słów na temat Pershinga.

- A może o tym, jak zostałem wyrzucony z drużyny i zawieszony w prawach ucznia? I o tym, co się wydarzyło na pewnej kanapie?

- Nie wygłupiaj się. Myślałam, że spoważniałeś od tamtych czasów.

Zanim jednak zdążył wymyślić dowcipną odpowiedź, Marisa dostrzegła coś kątem oka, na moment znieruchomiała, po czym zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła ustami do jego warg.

A to co... przemknęło mu przez głowę. Nigdy by się nie spodziewał, że Marisa wystąpi z podobną inicjatywą. On w każdym razie nie będzie protestował. Przyciągnął ją do siebie i zatopił się w pocałunku.

- Co za nieoczekiwane spotkanie! - usłyszał za sobą obcy głos.

Marisa oderwała się od niego i rzuciła mu przeproszające spojrzenie, a gdy się odwrócił, zobaczył Sala Piazzę z uwieszoną na jego ramieniu Vicki. Nagle wszystko stało się jasne.

- Cześć, Cole, nie spodziewałem się spotkać cię tutaj - powiedział Sal, wyciągając rękę na powitanie.

- Cześć.

Na twarzy Vicki malowało się zdumienie.

Sal przeniósł wzrok z Cole'a na Marisę, potem znowu na niego.

- Jesteście parą?

Marisa stężała. Niewiele się zastanawiając, Cole objął ją ramieniem w pasie.

- Uhm. Mało kto o tym wie.

Prawdę mówiąc, tylko oni dwoje, a i to nie było pewne.

Sal odchrząknął i wykrzywił usta w parodii uśmiechu.

- No cóż, w takim razie...

- Pozostaje nam tylko złożyć wam gratulacje - wykrztusiła Vicki.

- Dziękuję - uprzejmie odparła Marisa.

A więc podjęła grę, ucieszył się Cole. Niemniej, gdy zostaną sami, będzie ją musiał wybadać, czy pocałowała go tylko po to, by zrobić na złość Salowi i Vicki.

Tymczasem ta ostatnia wycedziła, patrząc znacząco na Mari-sę:

- Uważaj, kochana. On nie wiąże się na stałe.

- Którego z nich masz na myśli? - odparowała Marisa.

Vicki otworzyła usta.

- No cóż, pora się pożegnać - szybko wtrącił Sal. - Mamy za-rezerwowany stolik w głębi sali. Miło było się spotkać.

Cole miał nadzieję, że więcej ich nie zobaczą.

Marisa wyzwoliła się z jego ramion. Ich spojrzenia spotkały się.

- Sprawy przybrały ciekawy obrót - zauważył.

- No właśnie, kto by przypuszczał, że natkniemy się na Sala i Vicky.

- Sal jest agentem sportowym, więc trudno się dziwić, że za-gląda do ulubionej knajpy sportowców. Ale nie to miałem na myśli i dobrze o tym wiesz.

- Zrobiłam to pod wpływem impulsu. Chciałam upozorować, że coś nas łączy i w ten sposób uzasadnić nasze spotkanie.

- Zamiast powiedzieć prawdę?

- Nie byłaby równie satysfakcjonująca.

- Zdajesz sobie sprawę, że wieść się rozejdzie i ludzie będą o nas plotkować?

- Tak - przyznała z troską w głosie. - Ale w końcu im się znu-dzi.

Cole pokręcił głową.

- Nie tak szybko, jak ci się wydaje. Dlatego proponuję, żebyśmy póki co udawali parę, bo inaczej na dobre wezmą nas na ję-

zyki.

Marisa wyraźnie się spłoszyła, szybko jednak się opanowała.

- No dobrze, ale tylko do gali w szkole. Do tego czasu przestaniemy być towarzyską sensacją.

Cole był przekonany, że Marisa się łudzi, ale nie wyprowadził jej z błędu.

- Sal musiał wiele dla ciebie znaczyć, skoro zdobyłaś się na tak jawną prowokację - zauważył.

Oczywiście nie był zazdrosny, chciał po prostu zaspokoić ciekawość.

- To nie to. Chodziło mi raczej o to, dla kogo mnie rzucił.

- O Vicki?

- Nie rozumiem, jak mogłeś się z nią zadawać.

- A kto nie tylko się zadawał, ale zamierzał poślubić takie zero? - odpowiedział pytaniem, wskazując ruchem ręki stoliki na tyłach baru.

Marisa spuściła oczy. Nie dała jednak za wygraną.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego sportowcy zadają się z tego rodzaju kobietami.

- Bo są dostępne - odparł. Po chwili podniósł butelkę jak do toastu. - Piję za twój pocałunek. Dzięki niemu nasze stosunki uzyskały oficjalny status.

Na twarzy Marisy odmalowała się panika, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, na co się zgodziła. Ale dla Cole'a cała ta intryga była czystym błogosławieństwem. Stwarzała pretekst do widywania się z nią, kiedy tylko będzie chciał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czuł się jak w niebie.

Piękna kobieta otworzyła mu drzwi mieszkania.

Jednakże Marisa nie kryła zaskoczenia.

- Co tu robisz?

Miała na sobie kuchenny fartuch, a w powietrzu unosił się smakowity zapach. A więc tym razem występuje w roli królowej kuchni.

- Co tu robisz? - powtórzyła.

- Czy tak kobieta powinna witać swego... - no właśnie, kogo? - nowego partnera?

- Wiesz, że to nieprawda.

- Powiedzmy, prawda tymczasowa.

Od pamiętnego spotkania w Puck & Shoot Cole szukał sposobu zobaczenia Marisy i w końcu zdecydował się na bezpośredni atak.

- Chyba mam prawo odwiedzać swoją sympatię. Ludzie wręcz się tego spodziewają. Powinienem przynajmniej znać wnętrze jej mieszkania.

- Wiesz, że to tylko udawanie - odparła, opierając się o framugę drzwi.

- Czy pocałunek przy barze też był udawany? A może to było coś więcej?

Marisa zmarszczyła brwi.

- Nie poczułeś się dotknięty tym, że posłużyłam się tobą dla własnych celów?

- Jak kobieta mnie całuje, nie zastanawiam się, dlaczego to robi. Zwłaszcza jeśli robi to tak namiętnie.

Marisa westchnęła i odsunęła się od drzwi, wpuszczając go do środka.

Idąc za nią korytarzem, zobaczył wyłaniające się spod fartucha, opinające kształtny tyłeczek, spodenki do joggingu.

- Wybierasz się pobiegać? - zapytał.

- Owszem, choć nie w tej chwili. Ale staram się utrzymać formę.

Z tego, co widział, jej figurze nic nie brakowało. Niemniej jednak chętnie zaproponowałby ćwiczenia całkiem innego rodzaju.

- To mieszkanie starego typu - podjęła, prowadząc go długim korytarzem do kuchni.

- Coś pysznie pachnie. - A ty wyglądasz tak smakowicie, że od razu bym cię schrupał, dodał w duchu.

- Jutro wieczorem odbędą się spotkania nauczycieli z rodzicami uczniów. Szkoła zwykle zapewnia poczęstunek, ale tym razem poproszono mnie, abym dodatkowo przygotowała swoją specjalność, parmigianę z bakłazanem.

Minąwszy salon oraz dwie sypialnie, z których tylko jedna wyglądała na używaną, weszli do obszernej kuchni.

- Przy okazji piekę kruche ciasteczka, ale zrobiłam dodatkową porcję bakłazana na własny użytek. Może spróbujesz?

Cole uwielbiał parmigianę z bakłazanem, ale odkąd się wyprowadził z rodzinnego domu, rzadko jadał pracochłonne domowe potrawy. Zadowalał się potrawami z grilla i makaronem z włoskich delikatesów.

- Z przyjemnością. - Rozglądając się po kuchni, zauważył stojący na blacie staroświecki mikser. - Twój mikser wygląda, jakby pamiętał lepsze czasy.

- Masz na myśli Kathy?

- Ochrciłaś swój mikser? - zdziwił się, z trudem kryjąc rozbawienie.

- Tak. Odziedzyczyłam go po babce. Kiedy miałam sześć lat, pozwoliła mi wybrać dla niego imię.

Zdjąwszy marynarkę, usiadł przy wysłużonym kuchennym stole. Chwilę później Marisa postawiła przed nim talerz z solidną porcją smakowicie pachnącego bakłazana.

Cole przełknął ślinkę.

- Napijesz się czegoś? - spytała.

Nie sądził, by Marisa trzymała w domu piwo.

- Dzięki, chętnie napiłbym się wody.

Chwycił za widelec i zabrał się energicznie do jedzenia. Sma-

kowało wybornie. Marisa zasługuje na miano mistrzyni kuchni wszech czasów.

Ona tymczasem postawiła przed nim szklanę wody.

- Przepraszam, ale mam tylko wodę z kranu. Filtrowaną.

Cole wytarł usta serwetką i wychylił łyk wody. Przyszedł tutaj z zamiarem uwiedzenia Marisy, a tymczasem to ona uwodzi go jedzeniem.

- Twoja parmigiana z bakłażanem może doprowadzić dorosłego mężczyznę do jęków rozkoszy.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Pani Serengetti na pewno ma własny przepis.

- Oczywiście, ale twój bakłażan jest chyba jeszcze lepszy. Tylko nie zdradź jej, że to mówiłem.

Marisa powiodła ręką po zmierzwionych włosach.

- Muszę cię na chwilę przeprosić, wrócę za moment.

Cole dokończył jedzenie i odstawił talerz do zlewu, po czym postanowił rozejrzeć się po mieszkaniu. Nie było to ładne z jego strony, ale miał nadzieję dowiedzieć się czegoś o Marisie. Był po prostu ciekaw wszystkiego, co jej dotyczy.

Wyszedłszy na korytarz, zobaczył, że drzwi do jej sypialni są zamknięte. Następne prowadziły do obszernego salonu. W kącie częściowo zastawionym parawanem znajdowało się niewielkie biurko i biblioteczka. Poza tym w salonie stała duża kanapa obita beżowym materiałem oraz kilka nieco sfatygowanych solidnych stolików, najwyraźniej odziedziczonych po rodzinie.

Na umieszczonym we wnęce regale stały liczne fotografie, a wśród nich zdjęcia promiennej roześmianej Marisy jako nastolatki. Z lekkim bólem serca zadał sobie pytanie, czy zdjęcie zostało zrobione przed czy też po ich nieszczęsnej przedmatu-ralnej przygodzie.

Ciekaw jej lektur, przechylił głowę, odczytując tytuły na grzbietach książek: „Jak podobać się ukochanemu”, „O pozbywaniu się ostatnich trzech kilogramów”, „Jak pokonać traumę porzucenia”.

Cole wyprostował się. Nigdy, ani za czasów szkolnych, ani ostatnio nie przyszłoby mu do głowy, że Marisa Danieli może się uważać za kobietę nie dość seksowną. Myśleć, że jej kształty

są zbyt obfite i nieatrakcyjne? Czy sądzi, że ten kretyński Sal Piazza rzucił ją, bo jest mało pociągająca? Ona, kobieta, na której temat miewał noc w noc erotyczne sny?

Odwrócił się, słysząc za sobą kroki. Do salonu weszła Marisa z opadającymi na ramiona, świeżo uczesanymi włosami.

- Masz ciekawy zbiór książek - zauważył.

Marisa przeniosła z niego wzrok na półkę z książkami. Wyraźnie się zmieszała.

Cole z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Widzę, że będę musiał wyleczyć cię z kompleksów - powiedział, podchodząc do niej.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odparła, cofając się. - I nadal nie wiem, czemu zawdzięczam twoją wizytę.

- Naprawę nie wiesz?

- Nie mam pojęcia.

- Przekonałem się, że jesteś rzeczywiście wspaniałą kucharką - powiedział, wybierając inną metodę. - Podczas wizyty na stadionie Razorsów paru uczniów wspomniało w szatni o smakowitych przekąskach, jakie przynosisz czasem na lekcje.

- A ty zapragnąłeś nagle wypróbować moją parmigianę z bakłażana? - Po chwili dodała: - To matka nauczyła mnie gotować.

- No proszę! A moja matka prowadzi kulinarny program w lokalnej telewizji i stale szuka gości, którzy prezentowaliby swoje przepisy.

Marisa obronnym gestem podniosła rękę.

- Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierzasz.

Cole pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

- Nie? To ja godzę się wystąpić na szkolnej gali, a ty nie chcesz w zamian uczestniczyć w telewizyjnym programie mojej matki?

- Zawarliśmy umowę, że w zamian za udział w gali otrzymasz kontrakt na zbudowanie sali. Chcesz ją renegejować? - obruszyła się Marisa.

- Nie. Ale mam inną propozycję.

- Jaką?

- Zamiast kilku treningów z twoimi uczniami poprowadzę prawdziwą szkołę hokeja.

Cole był gotów zrobić to bez żadnych warunków, ale Marisa nie musi o tym wiedzieć.

- Może moja mama mogłaby mnie zastąpić, jest świetną kucharką - odparła Marisa znacznie bardziej pojednawczym tonem.

- Znakomicie! Wystąpicie obie.

- Jestem teraz szalenie zajęta. Mam na głowie organizację gali, zebrania pedagogiczne i wywiady, a do tego muszę odmalować szafki kuchenne, zanim zaczną się upały. To staroświecka kamienica, nie ma centralnie sterowanej klimatyzacji.

- Pomogę ci w malowaniu - w nagłym natchnieniu zadeklarował Cole.

- Nie musisz tego robić. Nie jesteśmy parą.

- Więc potraktujmy to jako wymianę uprzejmości.

- Twój romans z Vicki też na tym polegał? Na wymianie uprzejmości?

- Oj, ślicznotko! Sama się o to prosisz. O wyleczenie z kompleksów - odparł Cole.

- Ty uważasz się za terapeutę? - prychnęła Marisa. - Jesteś po prostu najzwyczajniejszym kobieciarzem.

- To prawda, lubię kobiety. Ale znam lekarstwo na twoją przypadłość.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, chwycił ją w ramiona i pocałował w usta.

Marisa znieruchomiała, ale sekundę później objęła go za szyję i odwzajemniła pocałunek. Nie była w stanie dłużej się bronić. Język Cole'a wniknął do jej ust, jego tors napierał na jej piersi. Czując jego erekcję, jęknęła. W głowie miała zamęt, zmysły w niej szalały.

On tymczasem oderwał się od jej ust, jego wargi spłynęły po jej szyi, uchwyciły i zaczęły ssać koniuszek ucha. Marisę owładnęła fala pożądania.

Oderwał się od niej.

- Albo każesz mi się wynosić, albo stanie się to, czego najbardziej pragnę - wyszeptał.

- A cóż by to miało być?

- Pragnę zaspokoić twoje najgłębsze marzenia.

Jego słowa jeszcze bardziej ją podnieciły.

- Nie kazałaś mi się wynosić - przypomniał.

Nie była w stanie tego zrobić. Usiłowała wydobyć z siebie odpowiednie słowa, ale wargi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Jesteś piękną, seksowną i niezwykle pociągającą kobietą. Pragnę kochać się z tobą, słyszeć, jak jęczysz z rozkoszy, wypowiadając moje imię.

O nieba! Jego słowa rozpałały ogień w jej ciele. Seks z Salem był, delikatnie mówiąc, pobieżny. Nigdy nie słyszała z jego ust niczego podobnego.

Ujęła twarz Cole'a w obie dłonie i przywarła ustami do jego warg.

- Łóżko - wychrypiał. - Ale kanapa też wystarczy.

- Uhm.

Musiał to uznać za przyzwolenie, bo w następnej chwili poczuła, że siedzi na brzegu kanapy, a on klęczy przed nią i jedną ręką pieści jej sutek, a drugą podnosi skraj bluzki. Szybkim ruchem pomogła mu zdjąć kolorową szmatkę.

- Nie pamiętałem, że jesteś aż tak piękna.

Schylił się i wziął w usta widoczny za stanikiem sutek. Marisa miała wrażenie, że za chwilę umrze z rozkoszy. Jej pożądanie osiągnęło taki poziom, jakby ta pierwsza pieśczoła miała ją doprowadzić do orgazmu.

Cole rozpiął stanik i uwolnił ją od niego. Znowu pochylił głowę, a gdy począł wodzić językiem po obnażonej piersi, Marisa przycisnęła do niej jego głowę. Sal nigdy nie poświęcał jej ciała tyle troski i uwagi. Natomiast Cole zachowywał się, jakby był gotów pieścić ją w nieskończoność. Tak samo jak piętnaście lat temu. Tyle że teraz był dojrzałym mężczyzną - silnym, doświadczonym, pewnym siebie.

Podniósł głowę i patrząc jej w oczy, wyszeptał:

- Czy chcesz tego?

- Przecież wiesz.

- Tak, ale chcę to usłyszeć.

- Chcę. Chcę ciebie.

Twarz mu się rozpromieniła.

- Są rzeczy, których czas nie potrafi zmienić, ślicznotko. Ja też marzyłem o tobie.

Tyle czułości i uznania, przemknęło Marisie przez głowę. Cudowny balsam na jej duszę. Po raz pierwszy w życiu czuła się uwielbiana.

Cole delikatnym ruchem położył ją na kanapie. Pantofle zsunęły się z jej nóg i spadły na podłogę. On zaś wsunął rękę pod fartuch, uwolnił ją z szortów i rozsunął jej uda.

- Och, Marisa - wyszeptał. Odciągnąwszy skraj majtek, przycisnął kciuk do łechtaczki, podczas gdy palec wskazujący delikatnie wsuwał się w jej pochwę.

- Co robisz?

- A jak myślisz? - wymruczał, poruszając rytmicznie kciukiem i palcem. - Chcę cię doprowadzić do utraty tchu.

Marisa zatraciła się kompletnie w fizycznych doznaniach. Po zaledwie paru chwilach przejął ją nagły dreszcz, a jej biodra się wygięły. Był to wstrząsający orgazm zrodzony z narastającej przez piętnaście lat tęsknoty. Powróciwszy jako tako do przytomności, zdała sobie sprawę, że tylko ona doznała zaspokojenia. Ich oczy spotkały się.

- Tak - powiedział, odgadując jej myśli. - Będzie jeszcze lepiej niż kiedyś.

I właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Oboje zamarli. Po paru chwilach usłyszeli szczełęk przekręcanego w zamku klucza. Marisa zerwała się kanapy, obciążając na sobie przód fartucha.

- Marisa? Jesteś tam? - usłyszeli wołanie, po czym w drzwiach salonu pojawiła się Serafina.

Przez sekundę stała jak wmurowana, wreszcie rzekła:

- Och! Cześć.

- To... cześć - bąkała Marisa. - Nie wiedziałam, że wpadniesz.

- Przy wyprowadzce zapomniałam o paru drobiazgach. Pomyślałam, że zabiorę je w drodze do pracy. Jak wiesz, mam nadal drugi klucz. Ale pukałam.

Marisa poszukała spojrzeniem Cole'a, który stał osłonięty wysokim oparciem fotela.

- Sera, poznaj Cole'a Serenghettiiego.

- Dzień dobry. Wydawało mi się, że pana poznaję - uprzejmie odparła Serafina.

- Miło mi poznać kuzynkę Marisy - odparł.

- No to ja pójdę do kuchni poszukać swojego miksera - rzekła Serafina.

Po jej wyjściu Marisa odetchnęła z ulgą. Szybko wciągnęła szorty.

- Pójdę sobie - mruknął Cole. - Dam ci znać o terminie programu telewizyjnego.

Po paru chwilach Marisa usłyszała szcęk otwieranych i zamkniętych drzwi mieszkania. Wziąwszy głęboki oddech, skierowała się do kuchni.

Zastała kuzynkę przy przeszukiwaniu kuchennych szafek.

- Nie wiem, gdzie się podział.

- Chodzi ci o mikser? Zajrzyj do szafki nad kuchenką - poradziła jej Marisa.

- O, widzę, że uzupełniłaś garderobę.

- Cole wpadł, żeby... omówić jego występ na szkolnej gali. I porozmawiać o tym, że jego matka potrzebuje gości do kulinarnego programu w telewizji, a ja chcę go namówić na poprowadzenie szkółki hokejowej dla uczniów.

- I tak się jakoś złożyło, że w wyniku tych... hm, rozmów, zostałeś w samych majtkach? Wygląda na to, że wybaczył ci dawne winy.

Marisa oblała się rumieńcem.

- To nie było to, co myślisz - wybąkała.

Do Serafiny najwyraźniej nie dotarła wiadomość, że Cole i Marisa całowali się w barze Puck & Shoot, w którym nadal pracowała.

- Skoro Serengetti chce, żebyś wystąpiła w programie jego matki, to sprawa wygląda poważnie. Ale uważaj. Macie skomplikowaną historię.

- Wiem.

- No to w porządku.

- Z jednym zastrzeżeniem.

- Jakim?

- My tylko udajemy, że jesteśmy parą.

Serafina uniosła wysoko brwi.

- Chcesz powiedzieć, że tamto - tu wyciągnęła kciuk w kierunku salonu - to było udawanie?

- Nie... to znaczy, udajemy parę, ale to skomplikowana sprawa.

Opowiedziała kuzynce, co się wydarzyło przy barze w Puck & Shoot oraz o umowie z Cole'em, że będą podtrzymywać pozory bycia parą przynajmniej do wielkiej gali w Pershingu. Mówiąc o tym wszystkim, Marisa przyznała w duchu, że musi się pilnować, aby udawanie nie przerodziło się w coś więcej.

- Boję się, żebyś znowu nie doznała zawodu - zatroskała się Serafina.

- Nie jestem już nastolatką.

- On też nie. Miał czas na to, żeby nabrać doświadczenia w uwodzeniu kobiet.

- Wytłumaczyłam mu, dlaczego nie mogę się wiązać z kimś takim jak on. Bo historia mojej matki nauczyła mnie nie ufać zawodowym sportowcom.

- Ale on przecież zerwał już ze sportem - zdziwiła się kuzynka.

- Chyba nie na zawsze - odparła Marisa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Marisy życie nie oszczędzało. Pamiętała czasy dzieciństwa i dorastania, kiedy jej i matce zdarzało się niemal głodować. To też na myśl o tym, że ma lada chwila wystąpić w telewizyjnym programie razem z rodziną Serenghettich, i to w momencie, gdy plotki o jej romansie z Cole'em zdążyły się rozejść po ludziach, ciarki przechodziły jej po plecach.

- Nie denerwuj się - powiedział Cole, uspokajającym gestem dotykając jej policzka.

- To dlaczego Jordan robi takie miny? - spytała, wskazując siedzącego na pustej widowni brata.

- Bo lubi z wszystkiego żartować. Ale ja przy najbliższej okazji wybiję mu żarty z głowy - odparł Cole, rzucając bratu porozumiewawcze spojrzenie.

- To ponad moje siły. Wracam do domu - jęknęła.

Za późno. W tym momencie do studia weszła Camilla Serenghetti.

Marisa nigdy nie spotkała rodziców Cole'a osobiście, ale znała ich ze zdjęć w prasie. Zresztą Cole był łudząco podobny do matki.

- Albo twoja matka jest z natury osobą wszystko wybaczącą, albo tak się cieszy, że przynajmniej jeden z jej synów z kimś się związał, że jest gotowa zapomnieć mi dawne winy - zauważyła Marisa zniżonym głosem.

- Matka nic nie wie o twoim udziale w moich szkolnych niepowodzeniach. Z innych osobistych spraw też się jej nie zwierzałem.

- Nawet o...

- Terapeutycznych właściwościach pewnej kanapy na zapleczu szkolnej sali teatralnej? Nie.

Marisa spłonęła rumieńcem.

- Wystarczy, że ja wiem.

Biedna matka Cole'a. Marisa najpierw doprowadziła do zawieszenia jej syna w prawach ucznia, a teraz uwikłała go w udawanie nieistniejącego romansu.

- Chodź. Mamo, pozwól że ci przedstawię Marisę. Której parmigiana z bakłażanem może rywalizować z twoją.

- To moja matka wszystkiego mnie nauczyła.

- Cieszę się, że obie wystąpiacie w moim programie - z miłym uśmiechem odparła starsza pani.

- Mama zjawi się lada chwila.

- Przejdźmy od razu na ty. Mam na imię Camilla. Od dawna nie mogłam namówić moich synów do udziału w programie.

- Nie chcesz w nim występować? - zdziwiła się Marisa, zerkając na Cole'a.

Wzruszył ramionami.

- Mam za mało czasu na ratowanie obojga rodziców równocześnie - odparł.

No tak, musiał przejąć po ojcu prowadzenie firmy.

- Mieszkasz w Welsdale? - spytała Marisę pani Serengetti.

- Tak, mam apartament przy Chestnut Street.

- Mieszkasz sama?

- Do niedawna mieszkała u mnie kuzynka.

- Dobrze i to - przyznała Camilla.

- Mama uważa, że nie powinno się mieszkać w pojedynkę. U nas zawsze pomieszkiwali liczni krewni i znajomi.

Dalszą dyskusję na ten temat przerwało pojawienie się matki Marisy.

Donna Casale rozejrzała się po studiu, po czym postąpiła w kierunku Marisy.

- Chyba przyszedłam za wcześnie. Widownia jest prawie pusta. Ale przynajmniej zajmiemy najlepsze miejsca.

Marisa wyszła jej naprzeciw.

- Mam dla ciebie niespodziankę, mamo. Nie będziemy częścią widowni. Wystąpimy w programie. - Na wszelki wypadek nie uprzedziła matki, w jakiej roli mają wystąpić. Bała się, że Donna się przestraszy i odmówi.

- Wystąpimy w programie?

- Tak, mamo. Czy to nie wspaniale? Poznaj panią Serengetti

i jej synów.

Po dokonaniu prezentacji Marisa trochę się uspokoiła. Zaplanowała swobodniejszą atmosferę. Także Donna Casale sprawiała wrażenie ucieszonej tym, że wystąpi w swoim ulubionym programie.

Tylko Cole był wyraźnie rozbawiony.

- Nie uprzedziłaś matki, że zostanie gwiazdą telewizji? - szepnął do Marisy.

- Przestań.

- Ciekawe - mruknął. - Pierwszy raz każesz mi przestać. Dość nie powiedziałaś tego ani podczas wizyty w archiwum, ani przy barze, ani w twoim mieszkaniu.

- Przes... - Urwała. - Widzę, że drażnienie się ze mną sprawia ci przyjemność.

- Jak wiele innych rzeczy związanych z tobą.

Marisę oblała fala gorąca na wspomnienie niedawnej sceny na kanapie w jej mieszkaniu. Na kanapie, którą nazwała w myślach kanapą numer dwa, w odróżnieniu od kanapy numer jeden na zapleczu szkolnej sali teatralnej.

Ożywiona rozmowa między jej matką a panią Serenghetti przywołała Marisę do rzeczywistości. Dwie panie zastanawiały się, jaką potrawę zaprezentują przed kamerami: *tiella* czy *calzone di cipolla*.

- W rejonie Puglia, skąd pochodzę, pieróg *calzone* jest tradycyjnie podawany na Boże Narodzenie. A nasz program pojawi się na ekranach wiosną, więc myślę, że powinniśmy się zdecydować na *tiella*.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - odparła pani Serenghetti. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę z twojego udziału w programie. Na pewno wypadniesz znakomicie, Donna, *caro*. Ty i *bellissima* Marisa.

Ku zdziwieniu tej ostatniej dwie starsze panie zdążyły nawiązać bliską komitywę.

- Bardzo się cieszę, że obie bierzemy w nim udział - gorąco zapewniła ją Donna. - Marisa lubiła gotować, odkąd była małą dziewczynką.

- A Cole od małego lubił jeść - zwierzyła się Camilla.

- Marisa była wcześniakiem i przez pierwsze miesiące po jej urodzeniu musiałam pilnować, żeby przybierała na wadze.

- A Cole ważył cztery i pół kilograma. Miałam trudny poród.

- Ciekawe, dlaczego zakochani nie opowiadają sobie takich szczegółów na pierwszej randce - zażartował Cole, zwracając się półgłosem do Marisy.

- Nie wygłupiaj się. Twoja matka jest fantastyczna.

- O tak. Pasuje jak ulał do telewizji.

Camilla jakby odgadła, że o niej mowa.

- Marisa, *bella*, mam nadzieję, że będziesz na naszym przyjęciu za dwa tygodnie.

Na przyjęciu? Na jakim przyjęciu?

- Ach... tak - wybąkała.

- Właśnie zaprosiłam twoją mamę, ale niestety jest w tym dniu zaproszona na wesele.

- Córnka kuzyna Teda wychodzi za mąż - wyjaśniła Donna w odpowiedzi na pytające spojrzenie córki.

- Ach tak, prawda.

- *Grazie per l'invito*, Camilla - rzekła Donna.

- Twoja matka mówi po włosku? - spytał Cole.

- Jej rodzice rozmawiali w domu po włosku - odparła Marisa w roztargnieniu, gdyż wciąż się zastanawiała, o jakie przyjęcie chodzi.

- Dosyć tego, dzieci - oznajmiła Camilla, klaszcząc w dłonie.

W tym momencie do akcji wkroczyła ekipa telewizyjna i uwagę wszystkich przykuły inne sprawy. Po dokładnym omówieniu szczegółów programu oraz ustaleniu planu działań, Marisa skierowała się do wyjścia ze studia.

Cóż, kiedy Cole zastąpił jej drogę.

- Jakie masz plany na najbliższy weekend? - zapytał bez wstępu.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- W piątek mam pierwsze zebranie organizacyjne szkoły hokejowej, ale weekend wolałbym spędzić w ciekawszym towarzystwie niż banda uczniów.

- Marny z ciebie materiał na nauczyciela.

- To fakt. Ale wracając do planów na weekend, co byś powie-

działała na kolację w sobotę o siódmej w Agosto?

- W sobotę będę malowała szafki kuchenne.

- Żartujesz.

- Wcale nie.

- Bywało, że kobiety odrzucały moje zaproszenia, ale pierwszy raz spotyka mnie odmowa z powodu konieczności malowania szafek kuchennych.

- Pierwszy raz jest chyba elementem stałym w historii naszych stosunków - wypaliła bez zastanowienia.

A powinna była ugryźć się w język. Pierwsze miejsce na liście owych pierwszych razów zajmował fakt, że Cole był jej pierwszym kochankiem. A sądząc po jego minie, także na jego liście.

- Ty, ja i puszka farby. Trudno o bardziej perwersyjną kombinację - zauważył.

Marisa przewróciła oczami. Cole jakimś cudem nie tylko przeskoczył jednym susem od eleganckiej kolacji w mieście do wspólnego malowania kuchni, nadając drugiej propozycji charakter wiele obiecującej przygody.

- Liczę na to, że wybrałaś farbę w kolorze gorącej czerwieni.

- Nigdy dotąd nie przyszłoby mi do głowy, że w budownictwie, a więc i w malowaniu, jest coś seksownego. A tu okazuje się, że sam wybór farby przyprawia człowieka o utratę tchu - odparowała.

Cole uśmiechnął się leniwie.

- Jeśli mnie zaprosisz, to pokażę ci, co jeszcze przyprawia mnie o utratę tchu.

Niech to cholera, same jego słowa sprawiły, że Marisie zrobiło się gorąco i serce zaczęło jej bić mocniej.

- Nie mam pieniędzy na pomocnika - odparła bez przekonania.

- Dla ciebie jestem gotów pracować za darmo.

- Malowanie szafek to strasznie nudna robota.

- Ale dodaje życiu barwy.

- Już kupiłam farbę. Szafki będą żółte.

- Wspaniale. Kiedy zaczynamy?

- Ja zaczynam. W sobotę. - Miała nadzieję, że powiedziała to naprawdę zniechęcającym tonem.

- Stawię się o ósmej rano.

Kiedy w sobotni poranek Marisa otworzyła drzwi mieszkania, na progu stał Cole. W jednej ręce trzymał pojemnik z kawą i jednorazowymi kubeczkami, a w drugiej dużą papierową torbę.

- Przyniosłem pączki. Tradycyjne śniadanie budowlańców - oświadczył na powitanie.

- Dziękuję - odparła, biorąc od niego torbę i odstępując od drzwi, by go przepuścić.

Jego wysoka i gibka, ale zarazem umięśniona postać kolejny raz zrobiła na niej oszałamiające wrażenie. W starych poplamionych dżinsach, roboczych butach i narzuconej na biały podkoszulek flanelowej bluzie wydał jej się, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej pociągający.

- Nie zapraszam do kuchni, bo tam będziemy pracować - powiedziała, kierując się do salonu. - Pozwól, że wezmę od ciebie kawę - dodała, zamierzając nakryć do śniadania na stoliku.

Ich dłonie otarły się o siebie. Marisa podniosła oczy i oboje zamarli w bezruchu.

Po chwili musnął wargami jej usta.

- Myślałam, że przynajmniej do dziewiątej będziemy udawać, że przyszedłeś malować szafki.

- Seks w sobotni poranek to wspaniała rzecz - oznajmił z miną znawcy.

Marisa zaśmiała się nerwowo. Bo też była zdenerwowana. Spięta. Podniecona i szalona. Mimo iż rozum ostrzegał, że nie powinna się takim uczuciom poddawać.

Cole tymczasem podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie. Wpatrując się w jej usta, wyszeptał:

- Podczas lekcji w szkole zerkałem na ciebie dla samej przyjemności patrzenia.

- Naprawdę?

Skinął głową. Ponownie musnął jej wargi.

Kiedy się wyprostował, Marisa z trudem przełknęła ślinę.

- Widziałam czasami, że na mnie patrzysz. I... myślałam, że mam na twarzy ślady jedzenia albo jestem rozczochrana, albo...

- Moja droga, nastoletni chłopcy mają tylko jedno w głowie i to coś nie ma nic wspólnego z wpatrywaniem się w lustro w poszukiwaniu wad urody.

- A czym jest to coś, co nastoletni chłopcy mają w głowie?

- Zaraz się dowiesz. - To powiedziawszy, gorąco ją pocałował. Poczula jego męski zapach, rozchyliła wargi, ich języki się spotkały. Marisa przywarła do niego całym ciałem. On tymczasem wsunął ręce pod jej bluzkę, rozpiął stanik i zaczął pieścić plecy.

- Marisa?

- Tak? - mruknęła sennie.

- Często snułem fantazje na temat twoich piersi.

- Kiedy?

- Zawsze. W szkole. Do dziś.

Ściągnął z niej bluzkę, a ona rozwiązała włosy, które opadły miękką falą na ramiona.

- Nadal masz najpiękniejsze piersi, jakie widziałem. Prawdziwa Bombowa Lola.

- Co takiego?

- Nie wiedziałaś? Tak cię nazywali chłopcy w szkolnej szatni. Nie mogli tylko dojść, jaki masz numer stanika, bo chodziłaś zawsze w luźnych bluzach, z książkami przyciśniętymi do piersi.

- Opowiadasz.

- Ani trochę.

- Nie miałam pojęcia, że jestem obgadywana.

- Ale tak było.

- Ty przynajmniej poznałeś w końcu rozmiar moich piersi. I co, nie podzieliłeś się tą informacją z kolegami?

Cole spoważniał.

- Nie. Zacząłem cię uważać za swoją własną Lolitę. W każdym razie dopóki nie spowodowałaś mojej zguby.

- Aha! A teraz? Czy nadal jestem przedmiotem pożądania obdarzonym obfitym biustem?

- Dzisiaj jesteś kobietą, która śni mi się po nocach. Chcę się z tobą kochać.

Wyciągnął do niej rękę, a ona podała mu dłoń, czując słabość w kolanach. Gdyby była z sobą szczerą, wiedziałaby z góry, że do tego dojdzie. Mogła łatwo przewidzieć, czym się skończy

rzekome malowanie kuchennych szafek.

Cole rozrzucił poduszki po podłodze i uformował z nich rodzaj posłania. Oboje osunęli się na nie i uklękli naprzeciwko siebie. Cole objął ją jednym ramieniem i namiętnie całował, podczas gdy drugą ręką pieścił jej piersi.

- Cole, proszę cię - wyszeptała zdyszana, przeczesując palcami jego włosy.

- Co, ślicznotko?

- Proszę... już... więcej...

Wyprostował się i, zrzuciwszy szybkim ruchem bluzę oraz podkoszulek, pochylił się, by ściągnąć z niej spodnie razem z majteczkami, skarpetami i butami.

Opadł z powrotem na poduszki, jego dłoń zaczęła muskać jej uda, a potem uniósł się na łokciu, podniósł jej nogę i ucałował czułe miejsce pod kolanem.

Piętnaście lat temu Marisa marzyła o takiej chwili. Teraz przemknęło jej przez głowę, co by było, gdyby jej szkolny flirt z Cole'em przetrwał i zmienił się w związek dwojga dorosłych ludzi.

On tymczasem sprawiał wrażenie spragnionego na pustyni, który nareszcie dotarł do oazy. Poderwawszy się na nogi, uwolnił się od butów, spodni i kalesonów, po czym przywarł do niej całym ciałem z wyprężonym penisem wsuniętym pomiędzy jej uda.

A gdy na moment oderwał się od jej ust, Marisa powiodła palcami po długiej bliźnie na jego twarzy.

- Wiem, jak odniosłeś kontuzję nogi, ale nigdy mi nie powiedziałeś, jak powstała ta blizna.

Cole roześmiał się lekceważąco.

- Bardzo zwyczajnie. Kij współgracza zderzył się z moim policzkiem.

- Nigdy nie myślałeś, żeby się jej pozbyć?

- Czyż nie jestem wystarczająco przystojny? Chirurg tylko by to popsuł.

Marisa lekko się uniosła i delikatnymi pocałunkami pokryła długą bliznę.

- Och, Marisa - wyszeptał przez ściśnięte gardło. - To było...

słodkie.

- Wiele kobiet marzyłoby o tym, aby móc z taką nonszalancją traktować własny wygląd - westchnęła.

Cole zerknął na nią kątem oka.

- Po naszym pierwszym razie w szkole średniej przemyśliwałem, co powinienem zrobić, żeby następnym razem było jeszcze lepiej.

- Naprawdę?

- Owszem. A nawet ułożyłem plan działania, ale nie miałem okazji go wypróbować.

Marisa wydała z siebie senne westchnienie.

- Zamknij oczy - poprosił. - Wyłącz myślenie, zdej się na zmysły.

Kiedy Marisa posłusznie zamknęła powieki, zaczął rozmasowywać mięśnie jej pleców, dopóki się nie rozluźniły. Czuła, jak nerwowe podniecenie ustępuje miejsca głębszym, sięgającym dna duszy sensacjom.

Pocałował ją w usta, a zaraz potem jego wargi musnęły szyję i okryły pocałunkami dekolt. A gdy Cole wziął w usta piersi, drażniąc językiem sutek, Marisa zadrżała i jęknęła z rozkoszy.

To, co się z nią działo, daleko przewyższało najśmielsze marzenia, jakie snuła przez lata. Miała dziś do czynienia z dojrzałym, świadomym umiejętności dawania rozkoszy wydaniem niegdysiejszego nastolatka.

- Chyba nigdy nie dotrzemy do łóżka - wymamrotała.

- Wszystko w swoim czasie - odparł, tłumiąc śmiech.

Jego usta sunęły dalej w dół jej ciała. Rozsunął jej uda, pokrył ich wnętrza pocałunkami, przywarł wargami do jej kobiecości i zaczął pieścić ją językiem.

Marisa głośno jęknęła, wyprężyła się i wtuliła twarz w poduszkę. Świat odpłynął, została tylko niesamowita, nie dająca się wytrzymać rozkosz, która nagle eksplodowała i wyrzuciła Marisę w przepaść.

- To nie koniec - szepnął Cole, podciągając się na poduszkach. - Jeszcze nie zaznałaś całkowitego spełnienia.

Poderwał się na nogi i naciągnął wyjętą z kieszeni dzinsów prezerwatywę.

- Nie byłem pewien, czy się przyda, ale na wszelki wypadek się zabezpieczyłem - powiedział, kładąc się z powrotem obok niej.

W następnej chwili przewrócił Marisę na brzuch, rozsunał jej nogi, ściągając ją równocześnie na skraj poduszek, nachylił się nad nią i w nią wszedł.

- Jesteś taka gorąca i wilgotna. Gotowa na mnie - szepnął jej do ucha.

Czuła, jak jego członek porusza się w niej bez najmniejszego oporu. Najpierw wolno, potem coraz szybciej, uderzając w coraz gwałtowniejszym rytmie. Potem świat nagle się zakołysał i oboje z głośnym krzykiem opadli na poduszki.

Marisa czekała, aż uspokoi się bicie jej serca. Cole dał jej rozkosz, jakiej dotąd nie znała.

- Czy tak wyglądał plan, na którego realizację czekałeś od piętnastu lat? - spytała.

Roześmiał się bezradnie.

- Jego pierwsza część - odparł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

To, co Marisa zobaczyła, wchodząc do domu państwa Serenghettich, w pełni potwierdziło jej przekonanie, że ona i Cole wychowywali się w diametralnie odmiennym środowisku. Spoglądając na otoczoną pięknie zaprojektowanym parkiem willę we włoskim stylu, miała wrażenie, że jest w Toskanii, którą znała z odbytej któregoś lata wycieczki.

Jej przygotowaniu do wizyty towarzyszyła ostra trema. Długo się zastanawiała, w co się ubrać i w końcu włożyła krótką spodniczkę oraz równie skromną bluzkę. Trochę się uspokoiła na widok Cole'a, który czekał na nią na dole w holu.

On też był po prostu w koszuli i spodniach khaki.

A teraz szła obok niego, mijając kolejne elegancko urządzone pokoje, aż dotarli na tyły domu. Jak na maj, panowała wyjątkowo ciepła pogoda, toteż przyjęcie odbywało się w ogrodzie.

Marisa zerknęła na swego towarzysza.

Nie umiałyby powiedzieć, od kiedy zaczęła myśleć o nim jako o „swoim” mężczyźnie. Uwaga, na tej drodze czyha niebezpieczeństwo, przemknęło jej przez głowę. Wspaniały seks wprowadził ją co prawda w stan emocjonalnego poruszenia, lecz nie powinna przywiązywać do tego zbyt dużej wagi. Już raz, w czasach szkolnych, poddała się uczuciom i wiadomo, jak się to skończyło.

Cole położył rękę na jej ramieniu. Najwyraźniej nie zamierzał ukrywać, że coś ich łączy. Ale jak jest naprawdę? Czyż nie mieli tylko udawać, że są parą? Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

- Cieszę się, że tu jesteś - powiedział. Pochylił się i pocałował ją w usta.

- To wszystko członkowie twojej rodziny? Nie wyobrażałam sobie, że masz tylu krewnych - stwierdziła, zastanawiając się, ilu obecnych dostrzegło ów szybki pocałunek.

- Nie bój się, oni nie gryzą. W przeciwieństwie do mnie! - Cole się roześmiał.

Marisa rozejrzała się po ogrodzie. Wiedziała, że Cole ma troje rodzeństwa. Jordana zdążyła już poznać, a od Cole'a wiedziała, że jego najmłodsza siostra, Mia, jest projektantką mody i mieszka w Nowym Jorku, a średni brat Rick jest kaskaderem i jeździ z ekipami filmowymi po całym świecie.

- Chodźmy - powiedział Cole. - Przedstawię cię rodzinie.

- Jasne. - Mobilizując siły, Marisa podążyła za Cole'em w kierunku smukłej, niezwykle atrakcyjnej młodej kobiety.

- To moja siostra, Mia. Mia, poznaj Marisę Danieli.

- Pamiętam cię - powiedział Mia. - To ty jesteś tą mądrałą, która doprowadziła do upadku niezwyciężonego kapitana drużyny hokeja. Masz zamiar ostatecznie go wykończyć?

Marisa poczuła, że się czerwieni. Zarazem jednak zdała sobie sprawę, że Mia mówi to neutralnym, niemal żartobliwym tonem.

- Ależ skąd. Jest mi potrzebny do poprowadzenia gali w jego dawnej szkole - odparła. - A poza tym zmienił się od tamtej pory na korzyść - dodała z uśmiechem.

- Uhm. Chyba tak - zgodziła się Mia. - A ty też nie należysz do typu modelek, w jakich dotąd gustował.

- Dziękuję, siostrze, za dobre słowo - burknął Cole.

- Ale ty sama mogłabyś być modelką - zauważyła Marisa.

- Przez krótki czas faktycznie pozowałam do zdjęć, a właściwie pozowały moje nogi. Nie czułam się z tym najlepiej, ale chciałam poznać z bliska środowisko modelek. Być może będę zmuszona ponownie pozować do zdjęć, i to cała, nie tylko moje nogi, żeby promować własne projekty.

Marisa poczuła do niej sympatię. Szczególnie spodobało jej się u siostry Cole'a autoironiczne poczucie humoru.

- Czego się napijesz? - spytał ją Cole.

- Najchętniej wody.

- Potrzebujesz czegoś mocniejszego - uznał. - Przekonasz się o tym, poznając niezliczonych członków klanu Serengettich.

Kiedy Cole udał się na poszukiwanie drinka, a Mia wyjaśniła, że musi iść pomóc matce w kuchni, Marisa rozejrzała się wokół

siebie. Niedaleko wyjścia do ogrodu siedział w fotelu Serg Serengetti. Rozpoznałaby go dzięki rodzinnemu podobieństwu, nawet gdyby nie jego zdjęcia, które ukazywały się niekiedy w lokalnej prasie.

Starszy pan przywołał ją gestem dłoni, a gdy podeszła bliżej, powiedział:

- Słyszałem od żony, że mieszkasz w naszym pięknym Welsdale i uczysz w tutejszej szkole.

- Tak, jestem nauczycielką w Pershingu. A Cole bardzo szlachetnie zgodził się poprowadzić zbiórkę pieniędzy na rzecz szkoły.

- Tralala - obruszył się Serg. - Jaka tam szlachetność! Cole chce mieć pretekst, żeby się z tobą widywać.

Marisę zamurowało.

- Widzę, że ty i *pater familias* zdążyliście zawrzeć znajomość - usłyszała głos Cole'a, który zbliżył się i podał jej kieliszek wina.

- Dobrze, że w tych swoich wymyślnych szkołach liznąłeś przynajmniej trochę łaciny - burknął straszny pan.

- Niedaleko jabłko od jabłoni pada - zrewanżował się Cole.

- Nie wymądrzaj się. Trzymaj się Marisy i osiadź na stałe w Welsdale, jako szef Serengetti Construction, oto moja rada.

- Amen - kpiącym tonem spointował Cole.

Marisa nie wierzyła własnym uszom. Czuła, że na jej oczach rozgrywa się jakiś rodzinny dramat, dla niej niezrozumiały.

Na szczęście pojawiła się Camilla, by roztoczyć opiekę nad mężem.

- *Vade in pace*. Idźcie w pokoju - mruknął Serg, spoglądając na młodych spod nastroszonych brwi.

Robiąc krok do tyłu, Marisa zderzyła się z czymś. A raczej z kimś.

- Cześć! - powiedział do niej wysoki przystojny młodzieniec.

- To mój kolejny brat, Rick. Cudem przywrócony na rodziny łono z planu filmowego na drugim końcu świata.

- Nie słuchaj go - uśmiechnął się Rick. - Jestem gwiazdorem filmowym. Nie sądzisz, że Cole świetnie by się nadawał do ról czarnych charakterów?

- To, że dublujesz najlepiej płatnych aktorów Hollywoodu, nie czyni z ciebie jeszcze gwiazdora.

- Co za pedantyczne rozróżnienie - obruszył się Rick. - A właśnie, słyszałem, że macie się ku sobie. Braciszek zapłonął miłością do nauczycielki?

Marisa zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Musisz mnie koniecznie wprawiać w zakłopotanie?

- Niby czym? Tym, że gust ci się poprawił? Albo tym, że ona dała ci w szkole łupnia, a ty na nowo straciłeś dla niej głowę?

Mimo tego, co powiedział, Marisa miała wrażenie, że Rick nie żywi do niej pretensji o to, co się wydarzyło piętnaście lat temu.

Cole natomiast wyraźnie zaczynał tracić cierpliwość.

- To dyrektor szkoły zmusił Marisę do przyznania się, kto przerobił szkolną gazetkę. Groził, że pozbawi ją stypendium na studia.

- To jeszcze nie tłumaczy mojego zachowania. A w każdym razie na pewno go nie usprawiedliwia - wtrąciła Marisa.

- Miałaś pełne prawo postąpić tak, jak postąpiłaś. Nie miałaś wyjścia, musiałaś się bronić.

Rick z widocznym rozbawieniem obserwował ich sprzeczkę.

- Cudowny pokaz miłości - zauważył, mierząc wzrokiem raz jedno, raz drugie. - Chyba się wycofam, żebyście mogli do woli wymieniać się samooskarżeniami i usprawiedliwieniami.

Marisa zreflektowała się. Coś się zmieniło między nią a Cole'em. Jakby połączyła ich delikatna więź. Delikatna, ale mocna, niczym jedwabna nić.

Cole wziął ją za rękę.

- Chodźmy. Marisa musi jeszcze poznać sporo osób.

- Życzę dobrej zabawy.

Po rozstaniu z Rickiem długo krążyła po ogrodzie w ślad za Cole'em, poznając coraz to nowe osoby, członków rodziny, przyjaciół i znajomych. Mimo najlepszych chęci nie była w stanie zapamiętać wszystkich twarzy i imion.

Kiedy wreszcie wokół nich zrobiło się pusto, Marisa stwierdziła, że od przyjscia na przyjęcie minęły trzy godziny.

- Chodźmy stąd - powiedział Cole, biorąc ją za rękę.

- Ale przyjęcie trwa w najlepsze.

- Tym lepiej. Wszyscy rozumieją, że chcemy się znaleźć sami. I utwierdzą się w przekonaniu, że jesteśmy parą.

Marisę ogarnęło niespokojne wyczekiwanie.

- Dokąd idziemy?

- Najbliżej mamy do mnie.

- Dobrze - odparła po krótkim wahaniu.

Jeszcze nigdy nie była w jego mieszkaniu. Miała przekroczyć kolejny próg.

Nie jechali długo. W urządzonym z dyskretną elegancją holu wsiedli do windy, która ich zawiozła na najwyższe piętro.

Apartament Cole'a wydał się Marisie mieszkalną wersją jego biura. Bardzo męski. Trochę surowy. I bardzo nowoczesny.

W następnej chwili Cole przyparł ją do ściany i namiętnie pocałował.

- Nie posuwajmy się dalej - poprosiła, gdy oderwał się od jej ust. - Mamy tylko udawać, że jesteśmy parą.

- To nam pomoże lepiej udawać.

- Nie rozumiem twojej logiki.

- Do diabła z logiką, poddaj się uczuciom.

Nie musiał jej zachęcać. Marisa i bez tego czuła słabość w całym ciele. Bała się, a zarazem nie potrafiła mu się oprzeć.

- Tym razem będziemy się kochać w łóżku - wymruczał, muskając wargami jej szyję i dekolt.

Marisa drżącymi palcami rozpięła bluzkę, wyciągnęła ją ze spódnicy i zsunęła z ramion. Spoglądając na jego ręce pieszczące jej piersi, myślała z rosnącą niecierpliwością o tym, co ją dzisiaj czeka. A gdy wsunął rękę pod krótką spódniczkę, wyprężyła się i wyjęczała:

- Och, Cole, proszę...

- Co byś chciała?

- Och... - szepnęła. Jeszcze nigdy w życiu nie była aż tak podniecona. - Weź mnie... w łóżku.

- Tym razem będziesz mnie ujeżdżała - rzekł ochryplym głosem. Schylił się, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni na końcu mieszkania.

Był to ogromny pokój z wielkim łóżem i oknem w suficie.

Szklane drzwi wychodziły na taras.

Gdy tylko postawił ją na podłodze, oboje pospiesznie zrzucili ubrania. A gdy Marisa została w samej bieliźnie, powolnymi ruchami, pieszcząc ją i całując, rozpiął stanik i zdjął z niej majtki.

W następnej chwili rzucił ją na łóżko, położył się na niej i rozpostarł jej włosy na poduszce.

- Co robisz?

- Od dawna marzę, żeby zobaczyć twoje włosy rozsypane na mojej poduszce.

- Miałam... być na górze.

- Za chwilę.

Ponownie obsypał jej ciało pocałunkami, po czym odwrócił się na plecy, pociągając ją za sobą tak, że znalazła się nad nim.

Rozsunawszy nogi, poszukała go biodrami i wzięła w siebie, a Cole pomógł jej odnaleźć właściwy rytm.

Fale rozkoszy niosły ją coraz wyżej, wydobywając z jej gardła okrzyki, które docierały do jej uszu jakby z daleka. W chwili szczytowania dostrzegła jeszcze jego napiętą twarz, poczuła ostatnie gorączkowe pchnięcie i silny wytrysk. Osunęła się w jego ramiona.

- Nie wiem, czy przeżyję drugi raz coś podobnego - wysapał, kiedy odzyskali przytomność.

- Nic nie szkodzi. Oddałam ci całą siebie.

Była to prawda. Zdała sobie z przerażeniem sprawę, że należy do niego nie tylko ciałem, ale i duszą.

- Cole, podejdź bliżej, musisz spróbować, co Marisa ugotowała.

Cole uśmiechnął się do kamery. Matka powiedziała to pozornie niewinnym tonem, on jednak podejrzewał ją o drobne oszustwo. Bo ani słowem nie wspomniała, że potrawa, którą miał spróbować, była wspólnym dziełem Marisy i obu matek.

- Na pewno jest przepyszna, ale ja nie jestem ekspertem - powiedział, wstępując z widowni na scenę.

Camilla zaczerpnęła z rondla porcję *tiella* i podała Marisie pełną łyżkę.

Kiedy jednak ta ostatnia, wyraźnie spłoszona, zrobiła ruch,

jakby chciała podać łyżkę Cole'owi, jego matka zaprotestowała.

- Nie, Marisa, nie tak - powiedziała ze śmiechem. - Kiedy ja proszę kogoś z rodziny o *opinione*, zawsze podaję jedzenie jemu albo jej prosto do *bocca*.

Widownia zareagowała wesołym śmiechem.

Marisa nie miała wyjścia. Kiedy z trochę niepewną miną wyciągnęła łyżkę w jego kierunku, ich oczy się spotkały, on zaś w ostatnim momencie ujął jej nadgarstek i poprowadził łyżkę do ust.

Potrawa była smakowita. Marisa też. Cole wyobraził sobie, jak po spożyciu pysznej *tiella* przystępuje do uczyty całkiem innego rodzaju.

Camilla zaklaskała w ręce.

- No i co powiesz?

Cole z namysłem przełknął i odchrząknął.

- Hm ... wspaniałe. Czuje się, że potrawę przygotowano z miłością.

Na szczęście w następnej chwili Camilla zwróciła się do widowni i kamera podążyła za nią.

- Moi drodzy, dzięki naszemu dzisiejszemu gościowi, pani Donnie Casale, mamy dziś dla państwa komplet garnków z nierdzewnej stali, ofiarowany przez dom towarowy Stanhope.

Wśród ogólnych oklasków zaprezentowano widowni kuchenne utensylia.

- Proszę zajrzeć pod siedzenia - podjęła Camilla. - Ten oto wspaniały komplet garnków otrzyma osoba, która pod swoim siedzeniem znajdzie czerwony krążek.

Na widowni zapanował gorączkowy ruch i już po paru chwilach pani w średnim wieku z okrzykiem triumfu pomachała czerwoną plaketką.

- Brawo! - zawołała Camilla. - Zapraszamy na scenę.

Po wręczeniu prezentu uszczęśliwionej beneficjentce Camilla podziękowała widzom oraz gościom i program dobiegł końca.

- Świetnie ci poszło - pogratulował matce Cole.

- Dziękuję ci za *l'assistenza* - odparła Camilla.

Taki już los syna pomagać rodzicom, pomyślał Cole. Ojciec co prawda nie będzie uszczęśliwiony, kiedy usłyszy, że zgłosił się

wreszcie chętny na wykupienie rodzinnej firmy Serengetti Construction. Cole wiedział o tym już od paru dni, ale z nikim się jeszcze tą wiadomością nie podzielił.

Zresztą w tej chwili miał pilniejsze rzeczy na głowie. Wypatrzył Marisę w rozprasającym się tłumie i przytrzymał ją za łokieć.

- Jak się czujesz? Był moment, kiedy wyglądałaś, jakbyś miała zemdleć. Ale i tak na pewno zdobyłaś paru nowych wielbicieli.

- Wliczając ciebie?

- Zawsze się do nich zaliczałem.

- Do wielbicieli mojej kuchni?

- Między innymi - odparł z szerokim uśmiechem. - A właściwie, nie kochaliśmy się jeszcze w kuchni. U mnie czy u ciebie?

Marisa rozejrzała się, czy ktoś ich nie podsłuchuje, ale wszyscy byli zajęci sobą.

- Obiecałam odprowadzić matkę.

- Rozumiem - odparł zrezygnowany.

Czekał piętnaście lat, może poczekać parę dni na następną okazję.

Po wyjściu ze studia Marisa podążała z matką przez długi korytarz do prowadzących na parking drzwi.

- Jest coś, o czym powinnam wiedzieć? - lekkim tonem zagadnęła Donna.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Mam wrażenie, że łączą cię z Cole'em nie tylko interesy.

Marisa poczuła, że się czerwieni.

- Chciałam mu się odwdziżyć za udział w zbiórce pieniędzy - wybąkała. - I mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś, biorąc udział w programie.

- Niewątpliwie - przytaknęła matka. - Ale największą przyjemność sprawiło mi obserwowanie tego, co się działo między wami. Cole po prostu pożerał cię wzrokiem.

- Mamo!

Donna popatrzyła na nią.

- Jesteś piękną i bardzo atrakcyjną kobietą, kochanie. Cole byłby głupcem, gdyby się tobą nie zainteresował.

I tu tkwił dylemat. Marisa wciąż nie była pewna, jak określić ich stosunki. Gdzie kończy się udawanie, a zaczyna realność.

- Camilla uważa, że coś się między wami dzieje i bardzo się z tego cieszy - podjęła Donna. - Doszły ją plotki, że jesteście parą.

Marisa westchnęła. Nie miała siły dłużej się wypierać.

- Ja i Cole mamy za sobą trudną i skomplikowaną przeszłość.

Matka popatrzyła na nią zatroskanym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że historia moich stosunków z twoim ojcem nie zniechęciła cię do mężczyzn jego typu. - A widząc, że Marisa milczy, dodała: - To, że był zawodowym sportowcem, nie miało istotnego znaczenia. Rozstalibyśmy się jak nie z tego, to z innego powodu. Byliśmy po prostu za młodzi.

Marisę zaskoczył rzeczowy ton, jakim matka mówiła o swoim związku z ojcem. Odkąd jako dwudziestolatka dowiedziała się, że ojciec porzucił matkę, zanim zginął w wypadku samochodowym, była przekonana, że matka nie akceptuje sportowców z ich specyficznym stylem życia.

A jeszcze bardziej zdziwiło ją to, że mimo cierpień i poświęceń, na jakie skazał matkę nieudany młodzieńczy romans, w jej słowach nie wyczuła goryczy.

- Wiesz, mamo, mam wrażenie, że odkąd wyszłaś za mąż, znacznie pogodniej patrzysz na życie - powiedziała żartobliwym tonem.

- To też. Ale przede wszystkim miałam czas przemyśleć wiele spraw. I zapewniam cię, że nigdy, przenigdy, ani przez chwilę nie żałowałam tego, że się urodziłaś. Byłaś dla mnie zawsze źródłem szczęścia i pociechy.

- Och, mamo! - wykrzyknęła Marisa, czując napływające do oczu łzy.

Donna uściśnęła jej rękę.

- No, dosyć tych czułości. Ale na przyszłość informuj mnie sama, co się dzieje między tobą a Cole'em Serenghettim. Żebym nie musiała się o tym dowiadywać od obcych ludzi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marisa rozglądała się po sali balowej ośrodka Briarcliff na obrzeżach Welsdale, w której odbywała się zbiórka pieniędzy na budowę sali gimnastycznej w szkole.

Gala miała się ku końcowi, ale mimo że dzięki błyskotliwym występom Cole'a i Jordana zebrano znacznie więcej pieniędzy, niż można było oczekiwać, jej radość z tego powodu mąciła czysto prywatna niepewność. Wszak zgodnie z pierwotną umową dzisiejsze wydarzenie miało położyć kres udawaniu, że ona i Cole stanowią zakochaną parę.

Popatrzyła na Cole'a, który na drugim końcu sali rozmawiał z dyrektorem szkoły, panem Dobsonem. W smokingu prezentował się, jeśli to możliwe, jeszcze wspanialej niż zwykle. Podczas dzisiejszej uroczystości zapewne przyciągnął niejedno tęskne kobiece spojrzenie.

Dosyć tego, upomniała się w duchu. Ma jeszcze inne sprawy na głowie. Powinna się zająć matką i ojczymem, których obecność na uroczystości dodawała jej ducha. No i mogła się spodziewać, że po dzisiejszym sukcesie zarząd szkoły zaproponuje jej stanowisko wicedyrektorki.

W okresie poprzedzającym galę dyrektor Dobson zachowywał się, jakby plotki o jej związku z Cole'em Serenghettem nie dotarły do jego uszu. Toteż na wszelki wypadek wspomniała mu mimochodem, że spotyka się z nim również prywatnie.

Poczuła, że Cole na nią patrzy. Ich spojrzenia spotkały się na długą chwilę.

Ostatnimi czasy widywali się bardzo często. Byli razem na meczu drużyny Jordana i gorąco mu kibicowali. Marisa była obecna na drugim treningu założonej przez Cole'a szkółki hokeja. A ponadto wspólnie przygotowywali w jej kuchni włoskie potrawy.

Na myśl o tym, jakim zajęciom oddawali się w kuchni poza

gotowaniem, Marisie zrobiło się gorąco. Również dlatego, iż zdała sobie wówczas ostatecznie sprawę, że jest po uszy zakochana.

- No, no, facet nie może oderwać od ciebie oczu.

Marisa drgnęła. Głos kuzynki przywołał ją do rzeczywistości.

- Nie przesadzaj.

- Wcale nie przesadzam - odparła Serafina.

- Witam miłe panie.

Obejrzały się równocześnie i ujrzały najmłodszego brata Cole'a.

- Nie wiedziałem, że Marisa ma tak piękną kuzynkę - powiedział Jordan, spoglądając na Serafinę z uwodzicielskim uśmiechem.

- Gdzie ją widzisz? - spytała sucho Serafina, oglądając się za siebie.

- Patrzę na nią, mój aniele.

- Nie jestem aniołem. Chociaż na imię mam Serafina.

- A ja nazywam się Jordan. Jestem bratem Cole'a.

- Wiem. I prawym napastnikiem Razorsów.

- Interesujesz się hokejem? - spytał, nie przestając się uśmiechać.

- Wiele słyszałam o twoich osiągnięciach, nie tylko na lodowisku. Zarabiałam na boku, pracując jako kelnerka w Puck & Shoot - odparła Sera zimnym tonem, jakby się odganiała od natrętnej muchy.

Marisa uznała, że powinna wkroczyć do akcji.

- Poznajcie się. Serafino, przedstawiam ci Jordana Serenghetiego.

- Serafina, boskie imię!

- Przestań, to staje się nudne. A tak w ogóle to skąd wiesz, że jestem kuzynką Marisy?

- Wystarczy na was popatrzeć - odparł Jordan, po raz pierwszy odrywając od niej oczy. - Podobnie delikatne rysy twarzy, ta sama jedwabista, lekko smagła cera. Trudno nie zgadnąć, że jesteście spokrewnione.

- Być może - niechętnie zgodziła się Sera.

- Spotkajmy się za dziesięć minut przy barze, aniele - zapro-

ponował nadal niezniechęcony Jordan.

- Nie licz na mnie.

- No to przepraszam. Niemniej będę na ciebie czekał. - Skłonił głowę i oddalił się.

- Ale dałaś mu popalić - mruknęła Marisa. - Tak bardzo nie znosisz pewnych siebie zawodowych sportowców?

- Żebyś wiedziała - parsknęła Sera. Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Zamiast niej u boku Marisy pojawił się Cole.

- Co się stało? - zapytał.

- Nie bardzo wiem, jedyne co mogę powiedzieć, to że Serafi-
na najwyraźniej ma z twoim bratem na pieńku.

- Ciekawe. Zwykle kobiety rozplývają się na sam jego widok.

Cole schylił głowę i musnął wargami jej czoło.

- Nie tutaj - zaprotestowała.

- Przecież wszyscy myślą, że jesteśmy parą.

Ale to się wkrótce zmieni, pomyślała, odwracając wzrok. I nagle zamarła.

- O co chodzi? - spytał.

Pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem, zobaczył pana Hayesa i też go zamurowało.

Dawny dyrektor Pershinga był z natury rzeczy zapraszany na szkolne uroczystości. Marisa wiedziała o tym, ale z powodu nawalu zajęć zapomniała sprawdzić, czy tym razem przyjął zaproszenie.

- Cole Serengetti i Marisa Danieli, co za miłe spotkanie - rzekł pan Hayes, podchodząc do nich.

- Dobry wieczór panu - odparła Marisa. - Świetnie pan wygląda. Widzę, że służy panu emerytura.

Jeszcze lepiej by mu posłużyła, gdyby odesłali dziada na zieloną trawkę piętnaście lat temu, pomyślał Cole. Hayes trochę posiwiał i zgarbił się, niemniej nadal biła od niego pewność siebie.

Cole pochwycił spojrzenie Marisy, którym najwyraźniej apelowała do niego, aby zachował się pojednawczo. Dzisiejszy wieczór był dla niej ważny, nie chciała niepotrzebnych zadrażnień. Uśmiechnął się do niej, ale nie zamierzał staremu zanadto po-

błażać.

- Jeśli dobrze słyszałem, jesteście obecnie parą - zauważył pan Hayes. - Moje gratulacje.

- Dziękuję - z uprzejmym uśmiechem odparła Marisa.

- Pewnie jest pan tym zaskoczony - zauważył Cole.

Marisa zrobiła minę, jakby chciała go trącić łokciem.

- Właściwie to nie - odparł pan Hayes.

Cole zdziwił się.

- Sprawy potoczyły się inaczej, niż pan oczekiwał.

- To prawda, ale... - Hayes odchrząknął. - Chciałbym coś wyjaśnić w kwestii tego, co się wydarzyło piętnaście lat temu. Kiedy Marisa została wezwana do mojego gabinetu...

- Na przesłuchanie - wtrącił Cole.

- ...i zadałem jej pytanie dotyczące wiadomego wydarzenia - ciągnął Hayes - zorientowałem się, jak bardzo jej na panu zależy.

Cole z trudem opanował zdziwienie.

- Z początku nie chciała nic mówić. A gdy w końcu wyjawiała pański udział w przewinieniu, bardzo się martwiła ewentualnymi konsekwencjami i prosiła o złagodzenie kary.

Cole poczuł na ramieniu dotyk jej ręki.

Zależało jej na nim, martwiła się o to, co się z nim stanie. Nawet Hayes to dostrzegł. Zastanawiając się, dlaczego nie zdawał sobie z tego sprawy, zrozumiał, iż poczucie, że go zdradziła, uczyniło go ślepym i głuchym na wszystko prócz własnej rzekomej krzywdy.

Spojrzał Hayesowi w oczy.

- Tamten przykry epizod w ostatniej klasie wiele mnie nauczył - odparł poważnym tonem. - Od tamtej pory przestałem rozrabiać. - Ujął rękę Marisy. - Ale wszystko dobrze się skończyło. Na moje szczęście.

Marisa nie zareagowała. Cole domyślał się, że zastanawia się, czy to, co powiedział, nie jest tylko grą na użytek dawnego dyrektora szkoły, mającą na celu utarcie panu Hayesowi nosa.

A tymczasem była to najszczęśliwsza prawda, która poraziła go nagle z niespodziewaną siłą.

Pragnął spędzić z nią życie. Była mu niezbędna. Zrobi wszyst-

ko, aby i ona zapragnęła związać się z nim na całe życie.

Kiedy drugiego dnia po wielkiej gali Marisa otworzyła drzwi mieszkania, zobaczyła przed sobą ostatnią osobę, której mogła się spodziewać. Za progiem stał Sal we własnej osobie.

Po zakończeniu uroczystego wieczoru nie miała okazji rozmówić się z Cole'em. Jako gospodyni gali musiała zostać do wyjścia ostatniego gościa, a on szybko się pożegnał, tłumacząc, że wczesnym rankiem czeka go ważne zebranie.

Tak więc żyła od dwóch dni w niepewności, nie wiedząc, czy ich umowa dobiegła końca, czy nie.

- Cześć, Sal - powiedziała, wpuszczając go niechętnie do mieszkania.

- Przyszedłem, bo muszę z tobą porozmawiać.

Marisa zamknęła drzwi i stanęła przed nim z założonymi na piersiach rękami.

- Vicki mnie rzuciła.

- Współczuję.

Ciekawe, pomyślała. Chociaż na dobrą sprawę łatwo było przewidzieć, że ich związek szybko się rozpadnie. Kompletnie do siebie nie pasowali.

Tylko po co przychodzi z tym do niej? Żeby się wyplakać na jej ramieniu?

- Nie ma czego. Dobrze się stało, że pokazała mi drzwi. Byłem idiotą.

Marisa była tego samego zdania, ale zachowała milczenie. Nie będzie się znęcać nad pokonanym.

Sal tymczasem patrzył na nią przepaszającym wzrokiem.

- Skończyłem z zabawowym stylem życia gwiazd sportu i rzucałem agencję. To nie dla mnie. Zamierzam się zatrudnić w fundacji propagującej uprawianie sportu wśród dzieci i młodzieży z ubogich rodzin.

Mogła mu tylko przyklasnąć. Niemniej była ciekawa, co go skłoniło do podjęcia takiej decyzji.

- Odejście Vicki sprawiło, że w twojej głowie zrodził się ten zbożny zamysł?

Miał na tyle przyzwoitości, żeby się zawstydzić.

- Vicki to nie ty.
- Jasne, że nie. Dlatego ci się spodobała.
- Byłem straszliwym głupcem. Ale w ostatnich dniach wiele rzeczy przemyślałem.

Marisa czekała.

- Jesteś mi bardzo droga.

Marisa opuściła ręce.

- Chwileczkę, pozwól mi skończyć. Wiem, jak bardzo cię zawiodłem. Ale zrobię wszystko, żeby odzyskać twoje zaufanie. Daj mi szansę, Mariso! Kocham cię!

- Sal... - Nie wiedziała, od czego zacząć.

- Nic nie mów. Domyślam się, co mogę od ciebie usłyszeć. I wcale się temu nie dziwię. Sam od wielu dni wymyślałem sobie najgorszymi słowami.

Marisa milczała.

- Zrobiłem to, co zrobiłem, bo nagle przestraszyłem się perspektywy stałego związku - podjął. - Dopiero mając do czynienia z Vicki, uświadomiłem sobie, co straciłem. Że pragnę być tylko z tobą.

Jego usprawiedliwienie miało sens. Brzmiało przekonująco.

Sal miał odwagę przyznać się do popełnienia błędu. Okazał się człowiekiem godnym zaufania, stałym w uczuciach. A tego przecież pragnęła. W każdym razie do czasu, gdy Cole ponownie wkroczył w jej życie.

Cole, w którym się znowu zakochała, ale który nie zdradzał najmniejszej chęci zawarcia stałego związku. Ani nie dał jej odczuć, że podziela jej uczucie.

- Sal, doprawdy...

- Nic nie mów - powtórzył. - Ale pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Odezwę się niedługo.

Pocałował ją lekko w policzek, odwrócił się, otworzył drzwi i już go nie było.

Po zakończeniu konferencji Cole właśnie się zabierał do przejścia zalegających biurko papierów, kiedy asystentka dała mu znać, że dzwoni Steve Fryer, jego dawny znajomy z lodowiska.

Cole wolałby się zająć załatwianiem zaległych spraw firmy, by

znaleźć wreszcie czas na spotkanie z Marisą, której nie widział od dobrych kilku dni, ale Steve nie mógł o tym wiedzieć.

- Cześć, Cole, mam dla ciebie dobrą wiadomość - oznajmił Steve. - Dotychczasowy trener naszej drużyny Rocketsów postanowił przenieść się do Kanady, gdzie przyjęto jego wyśrubowane warunki. - Zrobił pauzę. - W związku z czym proponujemy ci stanowisko trenera.

Cole gwałtownie odchylił się w fotelu. Propozycja otwierała przed nim szansę, na którą czekał od wielu miesięcy. Rocketsi z Madison byli jedną z najlepszych pomniejszych drużyn Amerykańskiej Ligi Hokeja. Samodzielne prowadzenie drużyny stwarzało możliwość szybszego awansu, niż gdyby zaczynał jako asystent głównego trenera.

- Wspaniale - rzucił do słuchawki. - Rocketsi podjęli mądrą decyzję.

Steve roześmiał się.

- Wkrótce oddzwonię - podjął Cole. - Jak się domyślasz, muszę tę sprawę odpowiednio przygotować. - Steve uzna zapewne, że Cole potrzebuje czasu na skonsultowanie się ze swoim byłym agentem i przygotowanie warunków umowy.

Tylko on wiedział, ile problemów musi najpierw rozwiązać. Po pierwsze, wypłatać się z firmy. Należy skorzystać z nadal aktualnej oferty wykupienia Serengetti Construction. No i pozostaje kwestia jego relacji z Marisą.

- Nie pali się - odparł Steve. - Porozmawiamy za tydzień.

- Zadzwoń do ciebie - zapewnił Cole, kończąc rozmowę. W głowie mu się kłębiło od gorączkowych myśli.

Wszystko zdawało się iść w upragnionym kierunku. Zarazem jednak w ciągu minionego roku pogłębiły się jego związki z rodzinnym Welsdale. Przede wszystkim z powodu Marisy.

Zaproponuje, by pojechała z nim do Madison.

Myśli Cole'a zaczęły się układać w sensowny ciąg. W Madison nie brakuje posad dla nauczycieli. Dyrekcja Pershinga obiecywała Marisie awans na wicedyrektorę, więc każda szkoła przyjmie ją z pocałowaniem ręki. Kto wie, czy sama nie uzna, że gdzie indziej szybciej zdobędzie upragnione stanowisko. U Pershinga jakoś nie spieszą się ze spełnieniem obietnicy.

On zaś zadba o to, by instalacja w nowym miejscu przebiegła sprawnie, ku zadowoleniu obojga.

Wpierw jednak czeka go znacznie trudniejsza przeprawa. Najwyższy czas powiadomić ojca, że znalazł się potencjalny nabywca rodzinnej firmy.

Cole włożył marynarkę i powiedział asystentce, że wychodzi, ale będzie dostępny pod telefonem komórkowym. Uprzedziwszy matkę esemesem, wsiadł w samochód i ruszył do domu rodziców.

Drzwi otworzyła mu Camilla, która zaprowadziła go do obszernego salonu. Serg Serengetti siedział w klubowym fotelu opatulony kocem i otoczony poduszkami.

Przywitawszy się, Cole zajął miejsce w fotelu obok, Camilla usiadła na kanapie i przez jakiś czas prowadzili zdawkową rozmowę o tym i o owym. Niemniej po minie ojca łatwo było poznać, iż podejrzewa, że syn nie wpadł na niezobowiązującą pogawędkę.

Cole postanowił wziąć byka za rogi.

- Mamy oferenta na nabycie firmy - oświadczył.

- Oferenta? - zrzędlivym tonem powtórzył starszy pan. - Ktoś, ot tak, zadzwonił do drzwi i powiedział, że skupuje firmy? A może ty sam wystawiłeś ją na sprzedaż?

- To bez znaczenia. Najważniejsze, że firma jest poważna, jedna z największych w północnowschodnich Stanach, a warunki korzystne. - Cole wiedział, że nie może oczekiwać lepszej oferty.

Serg zacharczał, oczy wyszły mu z orbit.

- Dostanę ataku serca. - Opuścił głowę, a twarz mu się wykrzywiła.

- O mój Boże! - zawołała Camilla, zrywając się na nogi. - Gdzie czujesz ból?

Natomiast Cole najspokojniej zapytał:

- Akurat w tej chwili?

Serg łypnął na niego jednym okiem.

- To bez znaczenia. I tak chcesz mnie wykończyć.

- Proszę cię, Serg - błagalnym tonem zawołała Camilla, rzucając synowi zrozpaczone spojrzenie.

Cole był przyzwyczajony do podobnie dramatycznych domowych scen. Uczestniczył w nich mniej lub bardziej aktywnie od wczesnego dzieciństwa.

- Najpierw walczysz jak lew o zdobycie kontraktu na budowę sali gimnastycznej w Pershingu, a zaraz potem wystawiasz przedsiębiorstwo na sprzedaż? - oburzył się Serg. - A już myślałem, że wyrosłeś na rasowego człowieka interesu.

Cole był na to przygotowany.

- I dlatego wiem, że sprzedając firmę, zrobimy najlepszy interes.

- Camilla, przynieś mi lekarstwo - poprosił Serg, odprawiając syna machnięciem ręki. - Muszę odpocząć.

- Oferta jest bardzo korzystna - powtórzył Cole, podnosząc się z fotela.

Wiedział z góry, że musi dać ojcu czas na oswojenie się z nieuchronnym.

- Daj mi znać, jak będziesz chciał poznać szczegóły.

Pierwsza rozmowa załatwiona, teraz czas na drugą. Wsiadając do samochodu, wysłał do Marisy esemesa z prośbą o spotkanie po pracy w Puck & Shoot.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Marisa weszła do Puck & Shoot, z trudem panując nad nerwami.

Szybko usiadła w boksie naprzeciwko Cole'a, zanim zdążył wstać na powitanie. Przy stoliku natychmiast zjawiała się kelnerka, a gdy Cole rzucił jej pytające spojrzenie, zamówiła piwo light.

Kiedy w następnej chwili w kieszeni Cole'a zadzwoniła komórka i okazało się, że dzwoni jego asystentka, przeprosił ją i odszedł kilka kroków.

Podczas ich poprzedniego spotkania w tym miejscu na widok wchodzących do lokalu Sala i Vicky rzuciła się Cole'owi na szyję, dając początek komedii pozorów.

Czy ich udawany związek ma się zakończyć tu, gdzie się pierwotnie zrodził?

Marisa niespokojnie popijała piwo. Zarazem zdążyła się zorientować, że Cole też jest dziwnie zdenerwowany.

Kiedy wrócił do stolika po skończonej rozmowie, miała ochotę przytulić się do niego, lecz nie była pewna, czy ma do tego prawo. Od czasu wielkiej gali nie mieli okazji poważnie z sobą porozmawiać.

Cole mierzył ją intensywnym spojrzeniem, jakby czytał w jej myślach.

- Dobrze odgrywaliśmy zakochaną parę - powiedział.
- Chyba tak.
- Zaproponowano mi posadę trenera drużyny hokejowej w Madison w stanie Wisconsin.

Marisa zamarła.

Jednakże Cole robił wrażenie zadowolonego. Czyżby ich związek, no dobrze, udawany związek, tak mało dla niego znaczył? Czy dlatego o nowej propozycji wspomniał zaraz po uwadze na temat ich pozorowanego związku? Jakby chciał powiedzieć:

„Owszem, było miło, ale się skończyło”?

- Sal chce, żebym do niego wróciła - wypaliła bez namysłu.

Był to z jej strony odruch obronny. Wprawdzie Cole nie powiedział wprost, że przyjął propozycję posady w Wisconsin, ale był nią wyraźnie uradowany. Wiedział przy tym, że ona jest związana z Welsdale i z tutejszą szkołą.

W głowie miała mętlik, w przerażenie wprawiała ją myśl, że za chwilę wszystko się skończy. Odejście Sala zniosła stosunkowo dobrze, lecz nie była pewna, czy zdoła się pozbierać, jeżeli Cole zrobi to samo. Zbyt wiele dla niej znaczył. Minęło już kilka dni od wielkiej gali, po której mieli przestać udawać. Sama postawiła taki warunek.

Twarz Cole'a stężała.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że bierzesz taką możliwość pod uwagę.

Nie, nie brała tego pod uwagę. Jednakże w chwili obecnej musiała się odgradzić od Cole'a wysokim murem. Zachować dystans. Oddała mu serce, podczas gdy on najwyraźniej nie odwzajemnia jej uczuć. W każdym razie nic na to nie wskazuje.

Cole pokiwał głową.

- Pewnie ci się wydaje, że powrót do Sala da ci poczucie bezpieczeństwa i zapewni spokojną przyszłość. Ale jeśli uważasz siebie za kobietę tak dalece potulną i pozbawioną namiętnych pragnień, to się mylisz. Wiem, co mówię, bo miałem okazję się przekonać, że jest odwrotnie.

Jej pragnienia nie były namiętne, były nieograniczone. Pragnęła, by Cole kochał tylko ją i był jej całkowicie oddany. On jednak najwyraźniej ani myślał o ustabilizowanym życiu.

- Hokej to twój żywioł. Powinieneś spełnić swoje marzenie.

Powiedziała to z bólem serca. Było jej ciężko na duszy. Wiedziała jednak z doświadczenia, jak daremne bywają próby sprzeciwienia się cudzym marzeniom.

Cole milczał, tylko jego palce mocniej się zacisnęły na szklance piwa.

- Twoi rodzice woleliby, żebyś nie wyjeżdżał z Welsdale - podjęła Marisa. - Dlatego patrzyli przychylnie na nasz rzekomy związek. Ale ja i ty wiemy, że było to z naszej strony czyste uda-

wanie.

- Czyżbyś zapomniała, jak do tego doszło? - wycedził Cole przez zęby.

Tak, to była jej wina. Było jej wstyd, lecz brnęła dalej.

- Nie, nie zapomniałam - odparła. - Ale teraz nie jesteśmy już parą.

- Nie ma nic więcej do dodania - rzekł z pozornym spokojem.

- Umowa to umowa.

Marisa miała tyle rzeczy do dodania. „Kocham cię, Cole”, „Nie wyjeżdżaj”, „Zostań ze mną”.

Zamiast tego skinęła głową i sięgnęła do torebki po portfel.

- Zostaw to, ja zapłacę rachunek.

Marisa wysunęła się z boksu, unikając jego wzroku.

- Muszę już iść. Mam na jutro sprawdzić prace moich uczniów.

Szła do wyjścia na niepewnych nogach. Żeby tylko nie zemdlała, modliła się w duchu.

Następnego wieczora Cole siedział znów przy barze w Puck & Shoot. Ktoś obdarzony przewrotnym poczuciem humoru mógłby powiedzieć, że wrócił na miejsce zbrodni, aby pławić się w swoim nieszczęściu.

Jeszcze się trzymał, lecz był zdecydowany urznąć się do nieprzytomności. Pierwszy raz w życiu rozstanie z kobietą wstrząsnęło całym jego jestestwem. Oswojenie się z tym nowym doświadczeniem nie będzie łatwe ani proste.

Jakby tego było mało, zaczął mieć wątpliwości, czy dobrze robi, planując sprzedaż firmy Serengetti. Co dowodzi niezbić, że z jego głową jest coś nie w porządku. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jak dalece, sam o tym nie wiedząc, przywiązał się do rodzinnego przedsiębiorstwa.

Dwa rozstania naraz to stanowczo za dużo. Z jednym może by sobie poradził, ale nie z dwoma.

- Co tu robisz, bracie? Topisz zmartwienia w kieliszku?

Cole obejrzał się, rozpoznając ze zdziwieniem głos Jordana.

- Co za zmysł obserwacji! - mruknął zgryźliwie.

Zdał sobie poniewczasie sprawę, że szukając samotności, po-

winien był ominąć Puck & Shoot szerokim łukiem. Dobrze przynajmniej, że kuzynka Marisy, Serafina, akurat nie ma dyżuru. Za to napatoczył się Jordan.

- A gdzie Marisa? - spytał ten ostatni, lustrując bar wzrokiem. - Mamy sobotę wieczór. Sądziłem że jako para zakochanych nie rozstajecie się ani na chwilę.

- Wybrała innego.

- Sala? - zdumiał się Jordan.

Cole milczał.

- Jak to, ustąpiłeś mu pola?

- To jej wybór.

Jordan pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Jesteś doprawdy godny pożalowania.

Cole chwycił brata za przód koszuli i ze złością spojrzał mu w oczy.

- Odczep się ode mnie! - Odepchnął Jordana, puszczając jego koszulę, odwrócił się i wychylił stojącą na barze whisky.

Potrzebował dzisiaj czegoś mocniejszego niż piwo.

- Jesteś ślepy jak kret. Nie widzisz tego, co masz przed nosem.

Cole położył przed sobą na barze rozpostartą dłoń.

- Tak źle jeszcze ze mną nie jest.

- Pragniesz jej.

- Są inne kobiety.

- Na przykład Vicki.

- Dawno z nią skończyłem.

- Czyli jesteś gotowy zadowolić się byle...

- Nie ja, tylko ona. - Nie był w stanie wypowiedzieć jej imienia. - To ona chce wrócić do tego łapserdaka.

- Tak ci powiedziała? - zdziwił się Jordan.

- W każdym razie zastanawia się nad tym.

Jordan rozejrzał się po sali.

- Myślałem, że się tu dzisiaj zjawi.

- Niby dlaczego?

- Bo wysłała mi esemesa. Szuka cię. Napisała, że ma jakąś rzecz, którą chce ci zwrócić. Odpowiedziałem, że nie mam pojęcia, gdzie się podziewasz, ale warto, żeby zajrzała do Puck &

Shoot.

Znakomicie! Tego tylko brakowało, by ich ostatnie spotkanie odbyło się na oczach brata, i nie tylko jego.

- Wie, jak się rozstać w wielkim stylu - odparł z ironią w głosie.

- Wolałbyś bardziej prywatne spotkanie? No to idź do niej do mieszkania.

Niezły pomysł. Byłoby fatalnie, gdyby Marisa przyłapała go w knajpie pijącego na umór z rozpaczy niczym byle mazgaj. Wystarczy, że Jordan uznał go za godnego pożałowania.

Skoro go szuka, to najlepiej mieć to szybko z głowy. Oszczędzi jej zachodu. Tak przynajmniej sobie tłumaczył. Prawda była taka, że na myśl o zobaczeniu Marisy jego puls gwałtownie przyspieszył.

Wstał od baru, rzucając na kontuar parę banknotów.

- Zamówię ci taksówkę - zaproponował Jordan.

- Bo co, uważasz, że nie jestem zdolny prowadzić? - obruszył się Cole.

- Bo ludzie nie powinni cię oglądać w tym stanie. Wyglądasz jak upiór i podejrzewam, że tak samo wyglądałeś, jeszcze zanim usiadłeś przy tym barze.

Jazda do domu Marisy zajęła zaledwie parę minut.

Kiedy znalazł się u progu jej mieszkania, zobaczył, że drzwi są lekko uchylone, a ze środka dobiegają odgłosy rozmowy. Pchnął drzwi i wszedł bez pukania.

Na widok tego, co ujrzał, krew się w nim zagotowała. Sal i Marisa stali ciasno objęci. Sal szukał jej ust. Scena zasługiwała na miano dramatycznej nawet bez obecności wzgardzonego kochanka w charakterze widza.

- Sal, nie! - wykrzyknęła Marisa, usiłując się wyrywać z jego objęć.

To, co zobaczył, momentalnie nabrało innego znaczenia. Cole skoczył naprzód, odepchnął Sala i przyparł go do ściany.

- Nie słyszałeś, że powiedziała nie? - zapytał, patrząc mu z bliska w oczy.

- Hej, stary...

Cole potrząsnął nim.

- Zrozumiano?

- O co...

Cole ponownie pchnął Sala na ścianę.

- Właśnie wychodziłeś - wysyczał.

- Odczep się - zaprotestował Sal, próbując się wyrwać. - Mam prawo odwiedzać moją dziewczynę.

- Byłą dziewczynę.

- Wychodzi na jedno. Takim jak ty gwiazdom sportu wydaje się, że wszystko wam się należy. Poczuj chociaż raz, co to znaczy spotkać się z niepowodzeniem.

Cole zerknął na Marisę. Czuł się niepewnie, bo nie wiedział, czy zwierzała się Salowi, czy też nie.

Ona przez chwilę tylko patrzyła na niego oniemiałym wzrokiem. Wreszcie poprosiła:

- Nie rób mu krzywdy.

Cole przeniósł spojrzenie na czerwonego jak burak Sala.

- Dobrze wiem, co ci chodzi po głowie - oświadczył. - Zawsze marzyły ci się wielkie pieniądze, piękne kobiety i pławienie się w stylu życia zawodowych sportowców. Dlatego chcesz odzyskać Marisę?

Marisie zapało oddech.

Sal zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Nie, po prostu zmądrzałem. To ty masz rozdęte ego.

- Nie aż tak jak ty.

- Cole, pozwól mu odejść - wtrąciła się Marisa. - Sal, powinienś już iść.

Cole puścił nieszczęśnika i cofnął się, lecz atmosfera była nadal napięta.

Sal otrząsnął się i wyprostował kołnierzyk koszuli. Przygładzając ręką włosy, zwrócił się do Marisy.

- Do zobaczenia, kochanie. Wiesz, jak się ze mną skontaktować. Mam nadzieję, że dasz Serenghettiemu należytą odprawę. Facetowi najwyraźniej trzeba dwa razy powtarzać, zanim zrozumie, że nie jest mile widziany.

Cole'owi dłonie zwinęły się w pięści, zdołał się jednak opanować i pozwolił Salowi opuścić mieszkanie.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Marisa i Cole długi czas patrzyli na siebie w milczeniu, jakby powoli docierała do nich świadomość, że zostali sami.

- Po co przyszedłeś? - spytała wreszcie Marisa.

- Dziękuję, że mnie uratowałeś - zapiszczał Cole kobiecym dyszkantem.

- Sama bym sobie poradziła.

- Jasne. - Cole'a wciąż roznosiła złość na Sala. - To ja zapytam, co on u ciebie robił. A jeżeli chce, żebyś do niego wróciła, to dlaczego się broniłaś?

- Bo nic mnie z nim nie łączy.

Cole'owi mimo woli poprawiło się samopoczucie. Jeżeli Marisa jeszcze nie zdecydowała, czy do niego wrócić, to Sal swoim dzisiejszym występowaniem najprawdopodobniej ostatecznie pogrzebał swoje szanse.

- Powiedziałam mu, że nie zamierzam z nim być, ale nie dlatego, że jestem związana z tobą.

- A on dostrzegł w tym szansę dla siebie?

Marisa przygryzła wargi.

- Nadal nie wiem, po co przyszedłeś. Nie mogłeś się spodziewać, że zastaniesz u mnie Sala.

- Jordan powiedział, że mnie szukasz.

Marisa zaprzeczyła ruchem głowy.

- To nieprawda.

Cole zaklął pod nosem. Brat albo coś pokręcił, albo celowo, pod fałszywym pretekstem, wysłał go do mieszkania Marisy. Czy gdyby Cole go nie posłuchał, Jordan spróbowałaby zwabić Marisę do Puck & Shoot? Tak czy inaczej nie zapomni dać mu nauczki podczas najbliższego sparingu.

Ale musi najpierw uświadomić Marisie ważną prawdę o niej samej.

- No dobrze, wcale mnie nie szukałaś. Ale pozwól, że coś ci powiem.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Jesteś piękną kobietą. Ambitną i namiętą, godną wszystkiego, czego zapragniesz. Więc jeśli nawet między nami wszystko skończone, nie zadowolaj się kimś w rodzaju Sala.

Miał ochotę rzucić się na nią i zmusić do pocałunku, ale sto- czyłby się w ten sposób do poziomu swego konkurenta. Nie po- zostało mu nic innego, jak zrobić w tył zwrot i opuścić jej miesz- kanie.

Przedstawienie w wykonaniu uczniów ostatniej klasy Pershin- ga miało być ostatnim ważnym wydarzeniem przed końcem roku. Spiesząc na nie, Marisa nie przypuszczała, że z tej okazji znowu zobaczy Cole'a. Może po raz ostatni przed jego wyjaz- dem z Welsdale.

Od czasu ostatniej wizyty Cole'a w jej mieszkaniu nie mogła przestać o nim myśleć. Wcale nie zamierzała wiązać się na nowo z Salem. Wprawdzie w pewnym sensie zasugerowała Cole'owi, że się nad tym zastanawia, ale był to z jej strony od- ruch obronny po tym, jak wspomniał o swoim planie opuszcze- nia Welsdale.

Poza tym nie rozumiała, dlaczego Jordan twierdził, że chciała się spotkać z Cole'em. Może ktoś wprowadził go w błąd. A może próbował z powrotem ich z sobą spiknąć? Ale nie, to drugie należy zaliczyć do pobożnych życzeń.

Zajmując miejsce na widowni, rozejrzała się po sali i zauwa- żyła, że Cole siedzi w odległym rzędzie. Czy kiedykolwiek prze- stanie za nim tęsknić? Najwidoczniej pan Dobson zaprosił go na przedstawienie jako słynnego absolwenta liceum i przyszłego budowniczego nowej sali gimnastycznej.

Uczniowie najstarszej klasy wystawili „Śmierć komiwojaże- ra”, ale Marisa nie mogła się skoncentrować na ich grze i treści sztuki. Kiedy bowiem podniosła się kurtyna, serce jej zamarło.

Na środku sceny królowała... kanapa, na której Cole pozbawił ją dziewictwa. Marisa spłonęła rumieńcem. Nie śmiała spojrzeć na drugi koniec widowni. Niemniej odniosła wrażenie, że kątem oka dostrzega ruch głowy Cole'a w swoim kierunku.

Z największym trudem doczekała końca przedstawienia. Ka- napa... wspomnienia... Cole. Najchętniej uciekłaby z teatru i pobiegnęła do domu.

Kochała go, ale on nie odwzajemniał jej uczucia. Przeżywała na nowo swój dawny szkolny dramat. Jej również, podobnie jak

matce, złamał serce mężczyzna goniący za spełnieniem własnych marzeń.

Jakimś cudem dotrwała do końca sztuki. A gdy opadła kurtyna, odetchnęła z ulgą w nadziei, że za moment zdoła umknąć.

Kiedy jednak skończyły się oklaski, na scenę wyszedł pan Dobson.

Pogratulował uczniom udanego występu, a następnie oświadczył:

- Niech mi będzie wolno podzielić się z wami paroma informacjami. Miniony rok okazał się niezmiernie pomyślny dla naszej szkoły. Zbiórka pieniędzy na budowę nowej sali gimnastycznej zakończyła się wielkim sukcesem. Chciałbym w związku z tym najserdeczniej podziękować panu Cole'owi Serenghettiemu i jego firmie, która będzie realizowała nową inwestycję, za wspaniałomyślną decyzję sfinansowania usług budowlanych. Z największą radością ogłaszam, że nowa sala gimnastyczna będzie nosiła nazwę Hali Sportowej im. Serga Serenghettiego.

Marisa pobiegła wzrokiem w kierunku miejsca, gdzie siedział Cole. On jednak patrzył na scenę.

Zdawała sobie sprawę, że taki zaszczyt przysługiwał jedynie najhojniejszemu darczyńcom. Cole musiał więc oprócz darmowych usług budowlanych ofiarować szkole poważną dotację finansową.

Co nim powodowało?

Jak to pogodzić z faktem, że początkowo nie chciał poprowadzić zbiórki, a zgodził się jedynie pod warunkiem, że jego firma otrzyma kontrakt na budowę nowej sali?

Odczekawszy, aż umilkną oklaski, pan Dobson ponownie zabrał głos.

- Jest mi również niezmiernie miło poinformować was, że od nowego roku szkolnego funkcję wicedyrektorki liceum Pershinga pełnić będzie pani Marisa Danieli.

Marisa oniemiała. Nie wiedziała, że decyzja została już podjęta i zostanie dzisiaj ogłoszona.

- Pani Danieli ukończyła Uniwersytet stanu Massachusetts w Amherst i od blisko dziesięciu lat naucza w naszej szkole, zdobywając sobie najwyższe uznanie zarówno jako pedagog, jak

i niezwykle ofiarna członkini szkolnej społeczności. Mariso, pozwól na scenę, żebyśmy mogli ci wspólnie pogratulować zasłużonego awansu.

Marisa szła w kierunku sceny na drżących nogach. Zastanawiała się, czy to nie Cole przyczynił się do jej promocji na wicedyrektorę.

Kiedy na widowni umilkły wiwaty, szczególnie głośne i entuzjastyczne ze strony uczniów, poczuła na sobie wyczekujące spojrzenie pana Dobsona i zrozumiała, że powinna powiedzieć parę słów.

- Serdecznie wam dziękuję. Jestem głęboko wzruszona. Progi tej szkoły przestąpiłam po raz pierwszy dwadzieścia lat temu jako stypendystka i był to przełomowy moment w moim życiu. - Tu zrobiła krótką pauzę, po czym dodała: - Można powiedzieć, że obejmując nową funkcję, robię zaledwie krok dzielący gabinet dyrektora, do którego zostałam kiedyś karnie wezwana, od sąsiedniego gabinetu wicedyrektora. Odległość nie jest wielka, ale jej pokonanie zajęło mi trochę czasu.

Rozległy się śmiechy i oklaski.

Kiedy ukloniwszy się obecnym, Marisa zeszła ze sceny, by wrócić na swoje miejsce na widowni, dyrektor życzył wszystkim dobrej nocy i widzowie zaczęli zbierać się do wyjścia.

Miała nadzieję, że uda jej się szybko umknąć w tłoku, nie zwracając niczyjej uwagi. Chciała w spokoju uporządkować wzburzone emocje i oswoić się z wydarzeniami minionego wieczoru.

Jednak koledzy i rodzice uczniów zatrzymywali ją, składali gratulacje i życzyli powodzenia w nowej roli, toteż gdy wreszcie była wolna, sala opustoszała, a u drzwi wyjściowych czekał na nią tylko Cole.

Z jego twarzy nie mogła niczego wyczytać.

Wzięła się jednak w garść. Jako wicedyrektorka musi umieć sobie radzić w trudnych sytuacjach. Postanowiła przejąć inicjatywę.

- Moje gratulacje - powiedziała. - Pewnie jesteś uszczęśliwiony, że twój ojciec będzie patronem nowej sali.

- On też był bardzo wzruszony.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

Musiała zacisnąć palce na pasku torby, żeby opanować chęć dotknięcia jego ręki.

- Widzę, że postanowiłeś wziąć szkołę pod swoje skrzydła.

- Można tak zinterpretować sporą dotację.

- Dziękuję.

- Czy mówisz to jako nowa wicedyrektorka szkoły? - zapytał pozornie obojętnym tonem.

Z jego twarzy nadal nie potrafiła niczego wyczytać.

- Tak. - I jako kobieta, która cię kocha, dodała w duchu.

Skinął głową.

- Czy wstawiłeś się za mną u dyrektora? - rzuciła impulsywnie. Musi się tego dowiedzieć. Może ma ostatnią okazję, by go o to zapytać. - Pociągnąłeś za sznurki?

- Czy to ważne?

- Odpowiedz.

- Owszem, ale nie musiałem. Byłaś absolutną faworytką.

- Niemniej dziękuję.

- Ciężko pracowałaś, żeby uzyskać to, na czym ci zależało.

Ale nie wszystko. Jego nie zdobyła. Cole nigdy nie będzie do niej należał.

W tym momencie zbliżył się do nich członek zarządu szkoły.

- Cole, pozwól na chwilę - powiedział. - Jest tu ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić.

Mruknąwszy dobranoc, Marisa odwróciła się i z pochyloną głową ruszyła do wyjścia.

Ale nie do głównego, wokół którego nadal kłębili się ludzie, tylko do bocznego, za kulisami. Nie była w stanie położyć tamy wzbierającym w oczach łzom.

Jeszcze chwila, a rozplacze się na dobre. Mijając magazyn dekoracji, usłyszała za sobą czyjeś kroki i szybko ukryła się w jego wnętrzu. Kroki zbliżały się. Przekręciła klucz w zamku.

Ktoś poruszył klamką.

- Marisa?

To był Cole. Nie odpowiedziała. Miała nadzieję, że się zniechęci i odejdzie.

- Marisa? - Znowu poruszył klamką. - Wszystko w porządku?

Nic nie jest w porządku. Cole jej nie kocha.

Wyjeżdża z miasta.

- Zaniepokoiłem się, bo żegnając się, wyglądałaś jakbyś źle się poczuła. Wpuść mnie, bardzo proszę.

Po co? Bo chce się z nią ostatecznie pożegnać? Nie, tego by już nie zniosła.

Ale kiedy za drzwiami zapadła cisza, poczuła irracjonalne rozczarowanie. Zaraz jednak zamek zgrzytnął i w drzwiach stanął Cole, chowając do kieszeni scyzoryk.

- Otwierania zamków nauczyłem się w harcerstwie. - Rozejrzawszy się po zastawionym gratami wnętrzu, mruknął: - Chyba najwyższy czas, żebyśmy przestali się spotykać wśród teatralnych rekwizytów.

- Tym razem jesteśmy bezpieczni. Kanapa została na scenie.

- Zależy jak zdefiniować poczucie bezpieczeństwa.

Marisą miotały sprzeczne uczucia. Wcale nie czuła się bezpiecznie, a jednocześnie obecność Cole'a koła jej serce.

Zbliżył się i czułym gestem ujął jej podbródek.

- Kocham cię, Marisa. Jesteś pierwszą kobietą, której to mówię. - Ponownie rozejrzał się po rekwizytorni. - Nie tak to sobie wyobrażałem, odkąd w Puck & Shoot rozeszło się, że przepędziłaś Sala na cztery wiatry. Daj mi szansę.

- Przecież wyjeżdżasz.

- Nie. Zrezygnowałem z pracy w Wisconsin. Będę nadal prowadził Serengetti.

Marisa położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie chcę, żebyś z mojego powodu zrezygnował ze swoich marzeń.

- To nie tak, z niczego nie rezygnuję. Będę trenował młodzieżową drużynę, aby im ułatwić realizowanie własnych marzeń. W sprawie firmy też zmieniłem zdanie. Im dłużej o tym myślałem, tym mniej mi się podobał pomysł wyzbycia się rodzinnego dziedzictwa.

- Jako trener szkolnej drużyny i szef firmy będziesz mógł nadal realizować swój najgłębszy instynkt rywalizacji - odparła Marisa z przekornym uśmiechem.

- Czasami mam wrażenie, że znasz mnie lepiej niż ja sam -

zauważył. - Masz rację. I nie ustąpię, dopóki nie zgodzisz się zostać moją żoną.

- Czy to są oświadczenia?

- Tak, najmilsza - rzekł niemal uroczystym tonem, pokrywając jej dłonie pocałunkami. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

EPILOG

Jeśli wszystko się uda, będzie to największy kawał w życiu mężczyzny, który miał lada chwila zostać jej mężem.

Marisa nerwowym ruchem wygładziła długą suknię i poprawiła fryzurę. Gdy podnosiła rękę, na jej palcu błysnął pierścionek z brylantem. Wokół niej krążyli niespodziewający się niczego goście, kelnerzy roznosili napoje i zakąski.

Na podwyższenie wyszedł Cole z kieliszkiem wina w ręce i poprosił zebranych o uwagę. A gdy w sali zapadła cisza, oświadczył:

- Dziękuję państwu za tak liczne przybycie. Marisa i ja pragnęliśmy, żeby nasze zaręczyny dorównały rozmiarami naszej miłości.

Odczekawszy, aż umilkły wybuchy śmiechu i oklaski, kontynuował:

- Zakochałem się w niej w ostatniej klasie szkoły, ale jako głupi uczeń przestraszyłem się własnych uczuć. Miałem jednak niezwykle szczęście, bo po piętnastu latach Marisa ponownie pojawiła się w moim życiu, a ja zmądrzałem na tyle, żeby nie pozwolić jej odejść. Poprosiłem ją o rękę, a ona zgodziła się zostać moją żoną. Mariso, kocham cię.

Goście zaczęli się rozstępować, robiąc jej przejście. Marisa dotarła na podwyższenie chwiejnym krokiem.

- Co za przemówienie! - szepnęła Cole'owi do ucha. - Ze wzruszenia omal nie zalałam się łzami.

Cole przytulił ją, muskając jej usta pocałunkiem.

- Publiczne czułości zachowaj na wesele - zawołał Jordan, wywołując salwę śmiechu.

- Dzięki, bracie, za dobrą radę. I bardzo aktualną, ponieważ właśnie bierzemy ślub. Jeszcze dziś. W tym miejscu.

Rozległy się okrzyki zdziwienia, zaskoczeni goście wymieniali pytające spojrzenia.

Na środek sali wyszedł celebrant, który miał im udzielić ślubu.

Kiedy Cole po raz pierwszy wspomniał o ślubie z zaskoczenia, Marisa pomyślała, że żartuje. Ale szybko dała się przekonać. Była gotowa wyjść za niego w każdej chwili i w każdych okolicznościach.

Przez dobry kwadrans trwało ogólne zamieszanie, ponieważ gości poproszono o przejście z sali balowej do sąsiedniego pomieszczenia, w którym miała się odbyć ceremonia zaślubin. Wszystko zostało z góry przygotowane w największym sekrecie, łącznie z bukietem białych róż dla panny młodej.

Szczęście przepełniało serce Marisy. Niemniej wpadł jej nagle do głowy przekorny pomysł.

- Och, Cole, nie jestem w stanie opanować wzruszenia - wyszeptała. - Boję się... - Powieki jej opadły i udała, że chwieje się na nogach, jakby miała zemdleć.

Momentalnie otoczył ją ramionami.

- Marisa!

Otworzywszy oczy, popatrzyła na niego z figlarnym uśmiechem.

- Od dziś będę do końca życia padać w twoje ramiona.

- A ja zawsze będę czekał, gotów cię pochwycić.

I długim pocałunkiem przypieczętowali wzajemną obietnicę.

Tytuł oryginału: Second Chance with the CEO
Pierwsze wydanie: Harlequin Desire, 2016
Redaktor serii: Ewa Godycka
Korekta: Urszula Gołębiewska

© 2016 by Anna DePalo
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Gorący Romans są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3372-9

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Epilog
Strona redakcyjna